

ks. Maciej Bała

Dialogi jerozolimskie



2004

Wstęp

Pierwsze „Dialogi jerozolimskie” powstały jako słuchowisko radiowe, przygotowane dla gdańskiego Radia Plus z okazji Triduum Paschalnego w 2003 r. Na antenie zostały wyemitowane trzy z dialogów zawartych w niniejszej książce (*Jan*, *Setnik spod krzyża* i *Maria Magdalena*). Z radiowych audycji zrodził się pomysł rozwinięcia tej refleksji nad tajemnicą życia Jezusa w formę książki. Dlaczego jerozolimskie? Ponieważ wszystkie wybrane postacie łączy święte miasto Jerozolima. Wywiady nawiązują do wydarzeń biblijnych, które miały miejsce właśnie w tym mieście. Jerozolima miała szczególne znaczenie dla Żydów z racji mieszczącej się tam świątyni. Także w mesjańskiej misji Syna Bożego odegrała zasadniczą rolę – właśnie tutaj dokonano się nasze odkupienie przez mękę, śmierć i zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa.

„Dialogi jerozolimskie” są równocześnie kontynuacją mojej pierwszej książki – „Listów z Biblii”, która ukazała się w 2001 r. w wydawnictwie archidiecezji gnieźnieńskiej „Gaudentinum”. W niniejszej książce sposób prze-

kazu, znany z pierwszej części, został minimalnie zmieniony. Tym razem postacie biblijne nie piszą do nas listów, lecz... rozmawiają z nami. Cel tych medytacji pozostał jednak ten sam: przybliżenie, „ożywienie” bohaterów biblijnych, którzy ciągle chcą do nas przemawiać, abyśmy także w naszym życiu odkrywali niezwykłą postać, jaką był nasz Pan – Jezus Chrystus.

Dialog, jako nić przewodnia niniejszej książki, został wybrany bardzo świadomie. W swojej formie nawiązuje on do współczesnych wywiadów, powszechnie znanych z prasy, radia i telewizji. Żyjemy w epoce dialogu, który coraz częściej jawi się jako konieczność. Według niemieckiego filozofa H. Gadamera jeśli nie zaczniemy ze sobą rozmawiać, to nie tylko utracimy siebie, ale utracimy cały świat. Jednak nie każda rozmowa jest autentycznym dialogiem. Bardzo często chodzi tylko o „suche” poznanie argumentów drugiego człowieka, w tym celu, by przekonać go do swoich poglądów, do własnego punktu widzenia. Rozmowa przestaje być poszukiwaniem i odkrywaniem prawdy, co winno być istotą dialogu. Zamiast niego pojawia się dwustronny monolog, w którym nikt nie ma najmniejszego zamiaru wsłuchać się w drugiego człowieka, w to, co on pragnie przekazać. Każdy poszukuje najlepszego sposobu ukazania w poglądach swojego rozmówcy pomyłki, a nie prawdy.

Historia zna jednak wielkich mistrzów dialogu. Sokrates uważał, że wartościowe jest tylko to, co zostawia ślad w naszej duszy, jedynie te mowy, które adresujemy do drugiego człowieka i jednocześnie sami się od niego uczymy tego, co sprawiedliwe, dobre i szlachetne. Dla Platona nawet dusza, gdy myśli, to po prostu rozmawia sama ze sobą, sama sobie zadaje pytania i daje odpowiedzi, mówi sobie „tak” i mówi sobie „nie”. Mistrzem dialogu był tak-

że św. Tomasz z Akwinu, średniowieczny teolog, filozof i mistyk, dla którego rozważanie każdej prawdy winno się rozpoczynać od uważnego i starannego przeanalizowania poglądów odmiennych od własnych. W XX w. powstała nawet „filozofia dialogu”, dla której jedyną drogą do odkrycia pełnej prawdy o człowieku, o otaczającym nas świecie jest spotkanie osób: mojego „ja” z jakimś „ty” – ludzkim i boskim.

Ale najbardziej zdumiewający jest fakt, że sam Bóg jest inicjatorem niezwykłego dialogu z człowiekiem. Po upadku pierwszych rodziców to właśnie On rozpoczął zbawczy dialog poprzez swoje objawienie, na które człowiek odpowiada aktami wiary, nadziei i miłości. W Biblii znajdziemy zdumiewające wręcz dialogi Boga z człowiekiem. Wystarczy wspomnieć dramatyczną rozmowę z Abrahamem, w której ojciec narodu wybranego otwarcie „targuje się” z Jahwe o ocalenie Sodomy i Gomory, czy z Mojżeszem, który ma odwagę podjąć trudny dialog ze swoim Stwórcą o wybaczenie win narodu izraelskiego. Również księgi Nowego Testamentu ustawicznie mówią o zbawczym dialogu Chrystusa z ludźmi. Prowadził On rozmowy ze swymi uczniami, faryzeuszami, uczniami w świątyni, Nikodemem, Samarytanką, Piłatem, uczniami idącymi do Emaus. Całe ewangeliczne orędzie Chrystusa jest propozycją dialogu postawioną przed każdym człowiekiem. To co zaskakuje w postawie Jezusa, to fakt, że każdego chce On poprowadzić do odkrycia prawdy, nawet tych, którzy początkowo są na nią całkowicie zamknięci. Jednakże tej Prawdy, którą jest On sam, nie narzuca, nie zmusza do jej przyjęcia, pragnie, aby człowiek ją osobiście odkrył, pokochał, w sposób całkowicie wolny przyjął i na niej budował swoje życie. A to może się dokonać tylko w rozmowie – dialogu, pełnej zrozumienia dla słu-

chacza, nawet dla jego błędów i pomyłek (np. w rozmowie z Samarytanką Jezus cierpliwie prowadzi swoją rozmówczynię do najważniejszej prawdy, pozwala jej odkryć w sobie nie tylko przypadkowo spotkanego Żyda, nie tylko Proroka, ale w końcu samego Mesjasza). Ten dialog Bóg z nami ciągle prowadzi. I całe nasze życie może stać się wielką odpowiedzią na propozycje dialogu ze strony Boga. Albowiem to co czynimy, myślimy, wypowiadamy, jak żyjemy, każde nasze spotkanie może i powinno być realizacją najpiękniejszego daru, jaki otrzymaliśmy od Stwórcy – zdolności do otwartego i pełnego zaufania „dialogowania” z Nim i z drugim człowiekiem. Mam nadzieję, że niniejsze refleksje – dialogi umocnią nas w realizacji tego powołania.

Ks. Maciej Bała

Anna – córka Fanuela



Była tam również prorokini Anna, córka Fanuela z pokolenia Asera, bardzo podeszła w latach. Od swego panieństwa siedem lat żyła z mężem i pozostała wdową. Liczyła już osiemdziesiąty czwarty rok życia. Nie rozstawiała się ze świątynią, służąc Bogu w postach i modlitwach dniem i nocą. Przyszędłszy w tej właśnie chwili, sławiła Boga i mówiła o Nim wszystkim, którzy oczekiwali wyzwolenia Jerozolimy.

Łk 2, 36-38

Redaktor: *Wracasz ze świątyni? Po co ja ciebie o to pytam, przecież wszyscy wiedzą, że od sześćdziesięciu lat ciągle w niej przebywasz. Czasami nawet nocami...*

Anna: *Rzeczywiście, ale to co dzisiaj tam ujrzałam... Czekałam na to całe moje życie! Nie przypuszczałam, że Bóg okaże mi aż taką łaskę.*

Redaktor: *Nie rozumiem, co się dzisiaj szczególnego stało? I dlaczego jeszcze nic o tym nie wiem?*

Anna: Spotkałam Mesjasza!

Redaktor: *Nieemożliwe. Opowiadaj! Jak wygląda, kim jest, jak liczne są Jego zastępy anielskie?*

Anna: Ależ to było... małe dziecko.

Redaktor: *Małe dziecko?*

Anna: Tak, rodzicie przynieśli je do świątyni, aby ofiarować Bogu swojego pierworodnego syna.

Redaktor: *Kobieto, co ty opowiadasz, nasz Mesjasz – dzieckiem? Przecież to będzie pomazaniec Boży, wyzwoliciel naszego narodu, największy prorok jaki powstał w naszym narodzie. A ty widziałaś jakieś dziecko?!*

Anna: Nawet Mojżesz był kiedyś dzieckiem!

Redaktor: *Dobrze, przekonałaś mnie, skąd jednak wiedziałaś, że przyniesione do świątyni dziecko jest Mesjaszem?*

Anna: Poczułam sercem. Bez żadnych wątpliwości. Zresztą nie tylko przede mną Bóg odkrył ową tajemnicę przyjscia Mesjasza.

Redaktor: *Ktoś jeszcze może o tym zaświadczyć?*

Anna: Tak – starzec Symeon. On pierwszy wziął je w ramiona, błogosławił i przemawiał napełniony Duchem bożym.

Redaktor: *Przepowiadał?*

Anna: Mówił: „Teraz, o Władco, pozwól odejść stądze Twemu w pokoju, według Twojego słowa. Bo moje oczy ujrzały Twoje zbawienie, któreś przygotował wobec wszystkich narodów: światło na oświecenie pogan i chwałę ludu Twego, Izraela”.

Redaktor: *„Twoje zbawienie”, „Chwała ludu Twego, Izraela”. Rzeczywiście, słowa te mogą odnosić się do mesjańskich zapowiedzi. Ale „światło na oświecenie pogan”? Co poganie mają wspólnego z naszym Mesjaszem?! Przecież On przyjdzie wyzwolić nas, a nie jakichś obcych – pogan!*

Anna: Widzę, że na razie nie poświęciłeś zbyt wiele czasu na studiowanie Biblii. Przypomnij sobie chociażby postać proroka Jonasza. Jaką misję zlecił mu Bóg? Nawrócenie pogan – Niniwitów. Jonasz, podobnie jak ty teraz, nie był entuzjastą tego pomysłu Pana Boga. A jednak Bóg pragnie zbawienia wszystkich ludzi. Mesjasz przyjdzie, a właściwie już przyszedł do każdego człowieka, nawet poganina!

Redaktor: *Podziwiam twoje silne przekonanie, ale powątpiewam, aby ktokolwiek z uczonych w Piśmie podzielał twoje zdanie. Wracając jednak do starca Symeona, powiedział coś jeszcze na temat tego dziecka?*

Anna: Tak, ale słowa skierował tylko do rodziców dziecka, miałam wrażenie, że w sposób szczególny dotyczyło to matki. Nie wiem jednak, co im powiedział.

Redaktor: *I na podstawie takiego przypadkowego spotkania z rodzicami małego dziecka, powołując się na słowa starca Symeona uważasz, że spotkałaś Mesjasza, którego nasz naród wyczekuje od tylu lat?! Wydaje mi się to tak mało prawdopodobne, że wręcz niemożliwe. Wiesz przynajmniej, kim są rodzice dziecka? Skąd pochodzą? Z jakiego rodu?*

Anna: Nie wiem. Ale kto mówi tutaj o przypadku. To ty tak uważasz. Dla mnie nie było żadnego przypadku, podobnie twierdzi Symeon – rozmawiałam z nim – przyszliśmy do świątyni właśnie w tym, a nie w innym momencie, ponieważ w naszych sercach odczytaliśmy głos, który nam nakazał tak uczynić. Myśl sobie co chcesz, ale dla mnie ten głos był natchnieniem samego Boga. Tego dnia On nas zaprowadził do świątyni, a Symeonowi rozkazał wziąć w ramiona dziecko i wypowiedać słowa błogosławieństwa i modlitwy. Wiele zdarzeń, które dzieją się w naszym życiu, uważamy za przypadkowe, ale może nie do końca tak jest. Ufam, że każdego z nas dotyka tajemnica boskiej opatrności.

Redaktor: *Wierzysz w opatrność? Gdyby ona istniała, nasze życie nie byłoby tak zależne od przypadku. Każde wydarzenie miałyby sens nadany mu przez Boga, a o tym nie jestem przekonany. Dlaczego jest tyle cierpienia, dlaczego Bóg tak „arbitralnie” je rozdaje? A może On nad nim nie ma władzy? Może sam jest bezradny wobec zła?*

Anna: Nie sędzę. Problem zła i dobroci Boga trochę mnie przerasta, zostawię to mądrzejszym ode mnie. Jednakże według mnie każde wydarzenie niesie w sobie jakiś

sens, tylko my, tutaj na ziemi, nie zawsze jesteśmy w stanie go dostrzec. Czasami jest zakryty przed nami. Ważniejsze jest jednak coś innego: przede wszystkim ja trochę inaczej rozumiem opatrność. Dla mnie jest ona związana z wewnętrznym, bardzo silnym przekonaniem, że Bóg nie dopuszcza w moim życiu niczego, czego nie byłabym w stanie udźwignąć. Nie wkłada na barki ciężarów nie do udźwignięcia. Nawet jeśli pojawiają się nagle rzeczy trudne, bardzo trudne, które wydają mi się w pierwszym momencie przygniatające, czy wręcz całkowicie mnie paraliżujące, wiem, że gdzieś – we mnie, wokół mnie zjawi się niezwykła pomoc od Boga. Czasami jednak potrzeba czasu, aby się o tym przekonać. Tym jest dla mnie opatrność. I w nią wierzę.

Redaktor: *Nie jesteś przypadkiem zbyt optymistyczna w tym co mówisz?*

Anna: Gdybym miała dwadzieścia lat, jak ty, to mogłoby to tak zabrzmieć, ale zapominasz, że ja już skończyłam osiemdziesiąty czwarty rok życia. Kiedy więc staram się wyjaśnić ci, jak rozumiem boską opatrność, patrzę nie tyle w przyszłość, lecz w przeszłość, na własne, minione życie. Z niego czerpię ową mądrość. W sytuacjach wydawałoby się „bez wyjścia”, zawsze okazywało się, że takowe jednak istnieje. I jest osiągalne. Stąd moja głęboka wiara.

Redaktor: *Możesz dać jakiś przykład.*

Anna: Oczywiście. Z własnego życia. Jak pewnie wiesz, bo nie jest to żadną tajemnicą, wcześniej wyszłam za mąż, ale i wcześniej owdowiałam. Za wcześniej, za led-

wie po siedmiu latach. Mąż zmarł nagle, nigdy wcześniej nie chorował. Świat zawalił mi się pod nogami. Byłam przekonana, że to już koniec, że przez całe moje dalsze życie będę tylko opłakiwała mojego ukochanego.

Redaktor: *Nie myślałaś wyjść po raz drugi za mąż? Przecież w naszej kulturze jest to bardzo powszechna praktyka. A wręcz obowiązek.*

Anna: Właśnie. Wszyscy pocieszali mnie w ten sposób. Powtarzali do znudzenia: „Jesteś bardzo młoda, piękna, atrakcyjna, szybko znajdziesz sobie następnego męża. Nie możesz zostać sama. Kto się będzie tobą dalej opiekował?” Rzeczywiście, z jednej strony byłoby to bardzo naturalne i rozsądne. Jednak mnie takie rozwiązanie zupełnie nie interesowało. Znalazłam się więc, według mnie i moich bliskich, w sytuacji bez wyjścia. Bez żadnej nadziei.

Redaktor: *Dlaczego odrzuciłaś propozycje powtórnego małżeństwa? Nie chciałaś?*

Anna: Dziwisz się temu? Tracisz osobę, która dla ciebie była wszystkim. Kochałeś ją, a to znaczy, że była dla ciebie niepowtarzalna i niezastąpiona. Niczym i nigdy. Ukochanej osoby nie da się zastąpić innym „egzemplarzem”, łatwo, szybko i bezboleśnie, jak zmienia się meble w mieszkaniu. Zawsze pozostanie brak i pustka. Taka już natura miłości.

Redaktor: *Przepraszam, może cię uraziłem...*

Anna: Młody człowieku, w moim wieku trudno już urazić...

Redaktor: *Wracając więc do historii twojego życia: w sytuacji bez wyjścia znalazło się jednak wyjście?*

Anna: Tak. Nieoczekiwane i zaskakujące. Początkowo, jak już ci wspomniałam, nie widziałam go. Byłam przekonana, że moje życie legło w gruzach i nie podniosę się już nigdy. Zwłaszcza, że całkowicie świadomie odrzuciłam jedyne, jak się wydawało, rozwiązanie – powtórne małżeństwo. Wiem, zbuntowałam się przeciw tradycji. Młoda, samotna wdowa – takie powołanie nie istniało i nadal nie istnieje w naszym narodzie. Powiedziałam po prostu: nie. Nie wyjdę powtórnie za mąż. Chcę żyć samotnie – w cierpieniu i bólu.

Redaktor: *Po co? Co i komu chciałaś udowodnić?*

Anna: Chciałam być wierna mojej jedynej miłości.

Redaktor: *I zmarnować sobie w ten sposób całe życie?*

Anna: Nie patrzyłam tak na to. Ponadto nie trwało to długo. Bóg bardzo szybko wskazał mi inne rozwiązanie – trudne i niespodziewane. Ale pozwoliło mi ono na wierność mojemu wewnętrznemu przekonaniu, a jednocześnie wyrwało mnie z beznadziei i cierpiętnictwa.

Redaktor: *Jak?*

Anna: Odkryłam, że Bóg pragnie, abym poświęciła się tylko Jemu. Służyć Mu całkowicie. Oddać swój czas na modlitwę, posty, pobyt w świątyni. Znalazłam w tym radość, a nawet szczęście.

Redaktor: *To miało być to dobre i genialne rozwiązanie?! Opatrznościowe?! Było chyba gorsze niż poprzednie.*

Anna: Zareagowałeś dokładnie tak samo jak moi bliscy... sześćdziesiąt lat temu.

Redaktor: *I ciebie to bawi?*

Anna: Wyobraź sobie, że tak, bo nic się nie zmieniło. Upłynęło sześćdziesiąt lat od momentu, jak podjęłam ową decyzję i od tamtego czasu służę w świątyni, a nadal nikt nie rozumie mojego powołania.

Redaktor: *Powołania?*

Anna: Tak – powołania. Nie przesłyszałeś się. Gdy podzieliłam się z moim najbliższymi, jakie powołanie Bóg mi teraz daje – pootwierali ze zdumienia oczy. „Ty chyba zwariowałaś” – powtarzali – „Nawet kapłani mają rodziny i tylko jakiś czas ze swego życia oddają Bogu. Oczywiście, w historii byli ludzie, którzy zostali powołani do służby Bogu, całkowitej, chociażby prorocy, ale i oni niejednokrotnie byli żonaci. Poza tym to byli mężczyźni. Nie ma takiego powołania dla kobiety, ani dla ciebie, ani dla innych niewiast. Jest to poza tym wbrew naturze, bo miejscem kobiety jest dom, rodzina, rodzenie i wychowywanie dzieci”. Konkluzja tych wywodów zawsze była jednakowa: „Ty zwariowałaś”.

Redaktor: *Wybacz, ale ja także nadal nie rozumiem twojego powołania. Cóż to za powołanie – dniami i nocami modlić się, od rana do wieczora spędzać czas w świątyni, pościć więcej niż nakazuje prawo. Nie je-*

stem przeciwny modlitwie, zrozum mnie dobrze, ona jest z pewnością potrzebna każdemu człowiekowi, ale całe życie poświęcić tylko modlitwie? Czy nie wydaje ci się, że jest to forma ucieczki od życia, wręcz pójścia na łatwiznę? Nie musisz zaprzętać sobie głowy tysiącami codziennych trosk, ludzie przecież zawsze coś ci dadzą, utrzymają cię. Wystarczy. A jeśli już tak bardzo chciałaś się poświęcić Bogu, czy nie sensowniejsze – i Jemu miłsze – byłoby zajęcie się ubogimi, chorymi, sierotami? Połączyć to z modlitwą, jak najbardziej, ale sama modlitwa, forma życia jaką wybrałaś, nie wydaje mi się, aby była czymś, czego Bóg od nas oczekuje.

Anna: Są różne drogi prowadzące do Boga, nawet bardzo różne. W moim sercu odkryłam, że mym powołaniem jest modlitwa, modlitwa i jeszcze raz modlitwa, czy to w formie postu, czy odmawiania psalmów – dniem i nocą. Nieustannie. Wcale nie widzę w tym nic bezużytecznego i bezsensownego. Moje życie nie ma też nic wspólnego z ucieczką przed codziennością i łatwizną. Ale zanim spróbuję bronić mego powołania, zacznę od czegoś innego: dlaczego tak arbitralnie porównujesz powołania? Dla ciebie małżeństwo musi być lepsze od życia w samotności, życie w samotności ukierunkowane na pomoc innym ludziom wartościowsze niż służenie tylko Bogu. Powołań nie można porównywać, zestawiać ze sobą. Każde z nich ma swoje blaski i cienie, radości i smutki, każde jest tak odmienne, a jednocześnie samo w sobie wielkie, że nie da się i nie wolno ich porównywać dla wykazania wyższości jednego nad drugim. Weźmy dwa różne powołania, np. małżeńskie i życie samotnego proroka na pustyni. Które trudniejsze? Proroka? Pewnie tak, zrezygnował z rodziny, żony,

dzieci, poświęcił się Bogu, żyje ubogo, nie ma stałego dachu nad głową, pości, modli się, naucza od rana do wieczora. Trud i poświęcenie, a jeszcze wszystko to czyni z miłości do Boga. Ale... Jest pewne „ale”. Bo ktoś żyjący w małżeństwie powie: tak, ale jest to życie łatwe i proste – prorok nie musi się troszczyć o zapewnienie życia swoim najbliższym, bo pielgrzymi zadbają o każdą jego potrzebę, nie musi całego swego życia ukierunkować na wychowywanie potomstwa, zwolniony jest od wielu trudnych decyzji związanych z dziećmi, z pracą, codziennością. A ile wysiłku trzeba wkładać w pielęgnację wzajemnych relacji. One są piękne, ale owo piękno ma też swoją cenę – żyje się z innymi osobami cały czas pod jednym dachem, nie można uciec, odizolować się, o miłość trzeba się ciągle troszczyć, jeśli nie – zaczniemy się ranić i to bardzo boleśnie. A nasz prorok – jednego dnia jest tu, drugiego gdzieś indziej. Wszędzie podziwiany, szanowany, nie wchodzi w żadne głębsze relacje, bo on poświęcił się dla Boga. Ma być „dla wszystkich”, ale przez to czy czasami nie jest dla nikogo? A czy małżeństwo, wychowywanie dzieci nie jest także służbą Bogu, formą miłości do Niego? Dlaczego prorocy mają przywilej „lepszego” kochania Boga? Dlaczego ich miłość, już z definicji, ma być bardziej wartościowa niż innych ludzi? Odpowiedz mi!

Redaktor: *Zamieszalaś mi trochę w głowie.*

Anna: To dobrze, bo życie wcale nie jest takie proste, jak się czasami wydaje... w wieku dwudziestu lat. Chciałam ci tylko pokazać, że nie należy porównywać powołań, jakie otrzymujemy od Boga. Każde z nich jest

jedyne, niepowtarzalne i ma być drogą – twoją drogą, którą dojdiesz kiedyś na spotkanie ze swoim Stwórcą. Nie ma lepszego czy gorszego powołania, można co najwyżej lepiej lub gorzej realizować swoje powołanie, nie angażować się w nie całkowicie, ze wszystkich sił, ale to już zupełnie inna sprawa.

Redaktor: *A wracając do twojego życia – życia modlitwą, czy ono ma jakiś sens?*

Anna: Oczywiście. Sam wspomniałeś, że w modlitwie widzisz sens.

Redaktor: *Tak. Wypełniam swój religijny obowiązek. Czczę Boga, okazuję Mu szacunek, posłuszeństwo przykazaniom.*

Anna: To prawda, ale nie zapomnij, że modląc się staję wobec mojego Stwórcy i Pana, aby mnie przemienił. Uwielbiam Go, dziękuję, przedstawiam Mu prośby, a dzięki temu, przez samą swoją obecność, On zmienia moje serce. Pozwala ufniej spojrzeć na świat. W modlitwie, dzięki Jego słowom dostrzegam to, co było przede mną zakryte. Nigdy z modlitwy nie wychodzimy tacy sami... Bardzo głęboko w to wierzę. Dlatego nie tyle Bóg potrzebuje modlitwy z naszej strony, co raczej wzywa nas do niej dla naszego dobra.

Redaktor: *Unikasz odpowiedzi na moje pytanie?*

Anna: Nie, tylko bez zrozumienia czym jest modlitwa, nigdy nie odkryjesz, na czym polega sens mojego życia. Bóg powołuje niektórych do oddania się tylko

modlitwie... dla dobra tego świata. Nie uciekam przed światem, wręcz przeciwnie, chcę być w nim obecna. Moje życie, powołanie ma być dla świata znakiem, że nie samym chlebem żyje człowiek, że skoro istnieją tacy, którzy poświęcają dla Boga całe swoje życie, to nie można przejść wobec tego obojętnie. Ilu jest ludzi, którzy są tak zabiegani wokół spraw tego świata, że zupełnie zapomnieli, że Bóg jest, że na nich czeka. Dla takich ludzi moje życie ma być znakiem, sygnałem, apelem. Właśnie przez swój radykalizm. Mam być „żywym” drogowskazem ukazującym cel naszego życia. Z pomocą łaski bożej staram się już teraz żyć, choćby w minimalnym stopniu, życiem, które ma być naszym udziałem w Królestwie Boga: tam będziemy kontemplować Tego, który powołał nas do istnienia. A ja staram się to robić już tutaj, na ziemi. Styl mojego życia jakby „odsyła” do tamtego, nowego życia.

Redaktor: *Jesteś marzycielką! Czy uważasz, że ci, którzy oddalili się od Boga, dzięki twojemu świadectwu ponownie do Niego wrócą? Wątpię. Dla takich ludzi nie będziesz żadnym znakiem „opamiętania”, lecz raczej przedmiotem drwin i złośliwości.*

Anna: Wiesz to na pewno? Znasz każdego człowieka? Pan Bóg potrafi wnikać do ludzkiego serca różnymi drogami. Naszym zadaniem jest Mu tylko w tym pomagać, a owoce naszych starań zostawmy Jemu.

Redaktor: *I w tym widzisz cały sens swojego życia – w byciu znakiem sprzeciwu i nawrócenia dla innych?*

Anna: Tak, dla mnie jest to ważne. Ale w moje, musisz przyznać dość specyficzne, powołanie wpisane jest jesz-

cze coś innego. Staram się wypraszać łaski dla całego świata, modłę się szczególnie za tych, którzy nie mają na to czasu, za tych, którzy uważają, że nie ma sensu się modlić, za tych, którzy w ogóle nie wierzą w Pana Boga. Próbuję błagać za tymi, którzy potrzebują pomocy, zanoszę modlitwy w intencjach całego świata i wszystkich jego problemów. Jak widzisz, z jednej strony usuwam się ze świata, aby oddać się na wyłączną własność Boga, ale z drugiej strony nie uciekam od świata i jego problemów. Chcę w nich uczestniczyć, ale w sposób całkowicie odmienny, przez co tak często jestem nierozumiana. W tym świecie musi być obecna nie tylko siła polityki, sprytu, układów, pieniędzy, ale przede wszystkim siła ducha! Dlatego trzeba się modlić. Oto powód, dla którego modłę się dniem i nocą – staram się służyć temu światu, a nie od niego uciekać!

Redaktor: *Mówisz – muszę przyznać – coraz ciekawiej, ale ja zupełnie zapomniałem zapytać cię o rzecz najważniejszą: Jak miało na imię to przyniesione dziecko – Mesjasz?*

Anna: Jezus. Jezus z Nazaretu. Zapewniam cię, że za kilkanaście lat dużo o Nim usłyszysz. Ale wtedy nie staraj się umówić ze mną na rozmowę, bo mam nadzieję, że będę już w innej świątyni...

Sparaliżowany znad sadzawki Siloe



W Jerozolimie zaś znajduje się sadzawka Owcza, nazwana po hebrajsku Bethesda, zaopatrzona w pięć krużganków. Wśród nich leżało mnóstwo chorych: niewidomych, chromych, sparaliżowanych, którzy czekali na poruszenie się wody. Anioł bowiem zstępował w stosownym czasie i poruszał wodę. A kto pierwszy wchodził po poruszeniu się wody, doznawał uzdrowienia niezależnie od tego, na jaką cierpiał chorobę. Znajdował się tam pewien człowiek, który już od lat trzydziestu ośmiu cierpiał na swoją chorobę. Gdy Jezus ujrzał go leżącego i poznał, że czeka już długi czas, rzekł do niego: Czy chcesz stać się zdrowym? Odpowiedział Mu chory: Panie, nie mam człowieka, aby mnie wprowadził do sadzawki, gdy nastąpi poruszenie wody. Gdy ja sam już dochodzę, inny wchodzi przede mną. Rzekł do niego Jezus: Wstań, weź swoje łoże i chodź. Natychmiast wyzdrowiał ów człowiek, wziął swoje łoże i chodził. Jednakże dnia tego był szabat. Rzekli więc Żydzi do uzdrowionego: Dziś jest szabat, nie wolno ci nieść twój łóż. On im odpowiedział: Ten, który mnie uzdrowił, rzekł do mnie: Weź swoje łoże

i chodź. Pytali go więc: Cóż to za człowiek ci powiedział: Weź i chodź? Lecz uzdrowiony nie wiedział, kim On jest; albowiem Jezus odsunął się od tłumu, który był w tym miejscu. Potem Jezus znalazł go w świątyni i rzekł do niego: Oto wyzdrowiałeś. Nie grzesz już więcej, aby ci się coś gorszego nie przydarzyło. Człowiek ów odszedł i doniósł Żydom, że to Jezus go uzdrowił.

J 5, 2-15

Redaktor: *Nieemożliwe, jeszcze wczoraj widziałem ciebie nad sadzawką Siloe, byłeś sparaliżowany, a dziś... Dokąd idziesz z tym łóżem?*

Sparaliżowany: *Jestem uzdrowiony! Doświadczyłem cudu! Dosłownie przed momentem. Jesteś pierwszym człowiekiem, który o tym słyszy. Ale ile lat na to czekałem! Trzydzieści osiem lat czekania! Rozumiesz to? Trzydzieści osiem lat paraliżu! Nie, zdrowy człowiek, taki jak ty, nie jest w stanie pojąć, czym może być życie sparaliżowanego.*

Redaktor: *Nie przeczę. Rzeczywiście nie wiem, czy byłbym w stanie wczuć się w taką osobę, jaką jeszcze niedawno byłeś. Kiedy spotykam osoby upośledzone, niepełnosprawne, najczęściej nie wiem, jak się zachować. Jak współczuć, co robić, co powiedzieć, aby nie urazić, a jednocześnie pomóc. Wydaje mi się, że my, zdrowi, jesteśmy sami bardzo często sparaliżowani niepełnosprawnością innych.*

Sparaliżowany: *Teraz należę do świata zdrowych, ale jeszcze wczoraj byłem... po tamtej stronie. Wiesz, czego*

wtedy najbardziej od was oczekiwałem? Od was, jak powiedziałaś, zdrowych. Normalności. Traktowania mnie jak człowieka. Wcale nie współczucia, pomocy, uzalania się nade mną i moim nieszczęściem. Z tym można sobie poradzić. Cały czas uczymy się, jak z tym żyć. Choroba zawsze jest obecna, o niej nie trzeba mi przypominać. Ale co z tego, że nie mogę chodzić, samodzielnie się poruszać, że moje ciało nie jest tak sprawne jak innych. Nadal przecież mogę kochać, poznawać, słuchać, nadal mam uczucia, którymi chciałbym się podzielić. Nie chcę odczuwać na każdym kroku, że jestem innym człowiekiem, a dokładniej, że nie jestem w pełni człowiekiem. Potrzebujemy normalności. Niczego więcej.

Redaktor: *Cóż, dziękuję za tę lekcję. Postaram się na przyszłość zachowywać naturalnie. Ale, jeśli mogę zapytać, jak to się stało, że zostałeś uzdrowiony. Kolejny cud sadzawki Siloe?*

Sparaliżowany: Niezupełnie. Rzeczywiście po wielu latach zmagania się z chorobą okazało się, że pozostała mi tylko jedna rzecz – czekanie na cud. Innego ratunku dla mnie nie było. Nie ja jeden wiedziałem, że istnieje tylko jedno miejsce, gdzie cuda się zdarzają i to dość regularnie. Chodziło, jak wspomniałaś, o sadzawkę Owczą. Znasz historię tej sadzawki?

Redaktor: *Tak. Według tradycji anioł posłany przez Boga zstępował w stosownym czasie i poruszał wodę. Ten, kto jako pierwszy wszedł po poruszeniu się wody, doznawał natychmiastowego uzdrowienia i to niezależnie od tego, na jaką cierpiał chorobę.*

Sparaliżowany: Właśnie. Miejsce, które jest źródłem nadziei dla niezliczonych chorych, sparaliżowanych, ślepych, głuchych. Miejsce, o którym teraz chcę jak najszybciej zapomnieć.

Redaktor: *Dlaczego? Przecież właśnie tam zostałeś uzdrowiony.*

Sparaliżowany: To koszmarne miejsce. Wiesz, co się działo wokół sadzawki każdego dnia? Po pierwsze tłum. Sparaliżowani, niewidomi, widziałem nawet trędowatych. Latami trzeba czekać, aby znaleźć miejsce w pobliżu samego brzegu sadzawki. Bo tylko stamtąd miałeś jakąś minimalną szansę na zanurzenie się w wodzie w chwili, gdy nastąpiło jej poruszenie. Pamiętaj: tylko pierwszy, który się zanurzy, ma szansę. Inni już nie. Przegrali wyścig.

Redaktor: *A nie było ustalonej kolejności? Zasad: kto pierwszy, kto następny? Bez przepychania, nerwów.*

Sparaliżowany: Ty chyba nie wiesz, o czym mówisz. Gdy w grę wchodzi twoje życie, zdrowie, gdy nie widzisz dla siebie już innego ratunku, pozostaje ci tylko egoizm, instynkt samozachowawczy. Przy sadzawce nie obowiązywały żadne ludzkie prawa. W takich, z pewnością ekstremalnych sytuacjach, niejednokrotnie wychodzą z nas najgorsze instynkty. Liczy się prawo silniejszego, sprytniejszego. Mogę i muszę liczyć tylko na siebie, bo ten sparaliżowany, chromy, niewidomy, który leży i jęczy tuż obok mnie, jest moim rywalem, konkurentem, najgorszym wrogiem. Bo to właśnie on może mnie uprzedzić, być szybciej u brzegu i stać się

zdrowym... zamiast mnie. Muszę być więc czujnym, uważnym, a przede wszystkim szybszym niż on. Takie myślenie było bliskie chyba każdemu, kto przyszedł szukać tutaj uzdrowienia.

Redaktor: *Gardziłeś tymi ludźmi?*

Sparaliżowany: Nie, ja ich wcale nie przekreślam. Wręcz przeciwnie, staram się ich zrozumieć. Jeszcze wczoraj byłem jednym z nich. Cóż im bowiem pozostało w tej zdeterminowanej walce o swoje zdrowie? Są zdesperowani. Walka o życie czasami wyzwala w nas takie emocje i stany, które w normalnych, zdrowych warunkach, nigdy by się w nas nie pojawiły.

Redaktor: *Przecież znam siebie. Wiem, jak się zachowam w pewnych sytuacjach. Mogę to przewidzieć.*

Sparaliżowany: Przewidzieć? Daję głowę, że nigdy nie przewidzisz swojego zachowania we wszystkich sytuacjach. Życie jest bogatsze od twoich najśmielszych oczekiwań i wyobrażeń. Czasami uważamy się za ludzi pełnych kultury, życzliwości, wspaniałych uczuć, tak jest – dopóki wszystko wokół ciebie jest piękne i wspaniałe. Ale gdybyś się stał jednym z nich – zrozpaczonego człowiekiem, koczującym wokół sadzawki Owczej w Jerozolimie w oczekiwaniu na jedyny dla ciebie ratunek, cud, nie jestem pewny, ile pozostałoby w tobie ze szlachetności, dobroczynności i zatroskania o drugiego człowieka. Życie uczy nas pokory. Łatwo oceniać innych, gdy jest się zdrowym, ma się dach nad głową, spokojną pracę. Ale są w życiu takie sytuacje, które mogą stać się dla nas wielką próbą naszego czło-

wieczności. Wielu z nas zdaje z nich egzamin pozytywnie, inni załamują się pod ciężarem takiej próby. Jesteś pewny, do której grupy należysz? Nie masz żadnych wątpliwości? Ja też ich nie miałem... do chwili pojawienia się mojej choroby. Potem bardzo spokojniałem i tej pewności już nie mam. Stałem się o wiele ostrożniejszy w moich sądach, nawet wobec takich „nie-ludzkich” zachowań, jakich byłem świadkiem przy sadzawce Siloe. Po części rozumiałem tych ludzi.

Redaktor: *Czyli według ciebie aż do końca życia pozostaniemy dla siebie tajemnicą?*

Sparaliżowany: Właśnie tak. Wydaje mi się, że istnieją w nas cztery różne obszary. Jest we mnie obszar człowieczeństwa – pewne zalety i wady – których jestem całkowicie świadomy ja sam, ale także i inni. Drugi obszar to moje cechy, zachowania, które ja znam, ale są zakryte przed innymi. Istnieją w nas sprawy tak intymne, że nie chcemy ich nikomu wyjawiać. Trzeci obszar, najczęściej związany z naszymi wadami, ale nie tylko, to coś, co inni widzą, a ja nie dopuszczam do mojej świadomości.

Redaktor: *Po tym, co powiedziałeś, domyślam się już, jaki jest ten czwarty obszar osobowości: to wszystko, co jest zakryte i tajemnicze dla mnie samego i dla innych. Ale czy coś takiego w nas występuje?*

Sparaliżowany: Bez cienia wątpliwości. Właśnie o tym przekonałem się – bardzo boleśnie – przy sadzawce Siloe. Nie przypuszczałem, że walcząc o miejsce przy sadzawce, aby być jak najbliżej wody, mogę być tak

zawistny, przebiegły, nieufny. Ta sytuacja wyzwalała we mnie najgorsze instynkty, których istnienia w sobie nawet nie podejrzewałem. Wierz mi, jesteśmy dla siebie tajemnicą. Szczególnie w sytuacjach ekstremalnych.

Redaktor: *Długo czekałeś na uzdrowienie przy sadzawce?*

Sparaliżowany: Bardzo długo. Na samo koczowanie w tym miejscu zdecydowałem się bardzo późno, po kilku latach bezowocnej walki o zdrowie. W końcu dotarło do mnie, że nie mam żadnych szans na uleczenie, pozostaje tylko cud. Ileż lat spędziłem w tym paskudnym miejscu! Nie chcę do nich wracać, chcę o nich jak najszybciej zapomnieć.

Redaktor: *Ale opłaciło się, w końcu byłeś pierwszy w wodzie, gdy anioł...*

Sparaliżowany: Nie, ja nie zostałem uzdrowiony w sadzawce.

Redaktor: *Jak to?!*

Sparaliżowany: Mnie nie uzdrowiła woda, lecz człowiek o imieniu Jezus!

Redaktor: *Opowiadaj!*

Sparaliżowany: Straciłem już nadzieję, że któregoś dnia będę tuż obok sadzawki. Zawsze byli silniejsi, sprytniejsi. Ale wczoraj nad sadzawką pojawił się On – Jezus.

Redaktor: *I co? Uzdrowił wszystkich?*

Sparalizowany: Nie – tylko mnie.

Redaktor: *Przepraszam, że zadam to pytanie, ale... dlaczego uzdrowił właśnie ciebie? Byłeś Jego krewnym, znajomym, przyjacielem? Przez protekcję, za pieniądze?*

Sparalizowany: Nie. Ja Go zupełnie nie znałem. Nigdy o Nim wcześniej nie słyszałem. Jeden z leżących obok mnie powiedział mi później, że był to Jezus. Jakiś nowy nauczyciel. Dlatego zadaję sobie to samo pytanie, które przed chwilą mi postawiłeś – dlaczego właśnie ja? Dlaczego mnie uzdrowił? Oczywiście nie płaczę z tego powodu, wręcz przeciwnie, ale wokół mnie były setki takich jak ja, może jeszcze bardziej cierpiących i potrzebujących. On podszedł do mnie. Dlaczego? Bo byłem lepszy, sprawiedliwszy, pokorniejszy, popełniłem w życiu mniej grzechów? Nie, na pewno nie. Byłem dokładnie taki sam jak wszyscy dookoła, może nawet gorszy – skoncentrowany na sobie samym, na swoim cierpieniu, obrażony na cały świat. Nie wyróżniała mnie ani pokora, ani specjalne cierpienie, zupełnie nic. Dlaczego więc ja? Tego nie wiem. Nie znam odpowiedzi na to pytanie.

Redaktor: *Wybacz, że jestem tak ciekawski, ale jak On cię uzdrowił. Bolało cię to?*

Sparalizowany: Jezus podszedł do mnie i najpierw zadał bardzo dziwne pytanie: czy chcesz być zdrowym? Gdy tylko to usłyszałem, ogarnęła mnie straszna złość. Za-

gotowało się we mnie. „Co za bezczelny człowiek” – pomyślałem w duchu. „Niech idzie do diabła! Jak on śmie pytać sparaliżowanego człowieka, powalonego chorobą od tylu lat, o uzdrowienie?” Nie wiem, w jaki sposób opanowałem swoje emocje i zamiast słów oburzenia powiedziałem Mu o największym moim cierpieniu: „Panie, nie mam człowieka, który zaprowadziłby mnie do sadzawki”. Wyrzuciłem z siebie największy ból, który męczył mnie od tylu lat.

Redaktor: *To nie choroba męczyła cię najbardziej?*

Sparaliżowany: Nie tylko, również coś, co jest z nią ściśle powiązane – straszny ból osamotnienia. „Panie, nie mam człowieka. Nikogo. Jestem sam”.

Redaktor: *Ale wokół ciebie były setki ludzi, takich ja ty. Jak mogłeś czuć się samotnym?*

Sparaliżowany: Właśnie, tym bardziej czułem się osamotnionym. Najdotkliwsza jest samotność pośród ludzi, a nie ta na pustyni. Wokoło mnie było sporo ludzi, nawet w podobnej sytuacji jak ja, ale nic mnie z nimi nie łączyło. Nic. Patrzyliśmy na siebie codziennie, spotykaliśmy się, wymienialiśmy między sobą jakieś zdania, ale nie łączyło nas ze sobą nic. Żadna głębsza relacja, nawet najmniejsza nić sympatii. Wręcz przeciwnie, jak już ci wspominałem, każdy z nich był moim rywalem do cudownego uzdrowienia. Po co budować relacje? Chyba tylko po to, aby je potem nikczemnie wykorzystać przeciw mojemu rywalowi. Co więcej: gdybym któregoś dnia umarł, wyniesionoby moje zwłoki i nikt by nawet tego nie zauważył. I to mnie przera-

żało. Można być samotnym wśród ludzi: uśmiechać się do nich codziennie, spotykać ich, rozmawiać, normalnie funkcjonować, a mimo to doświadczać strasznego osamotnienia.

Redaktor: *Ale samotność nie musi być czymś złym. Od czasu do czasu wszyscy jej potrzebujemy, dla zdrowia psychicznego.*

Sparaliżowany: Oczywiście. Ale wydaje mi się, że mimo wszystko nie chciałbyś być na nią skazany. Trzeba przede wszystkim odróżnić osamotnienie od samotności. Masz rację, ta ostania wcale nie musi być ani bólem, ani tragedią. Każdemu z nas jest ona potrzebna od czasu do czasu. Przecież lubimy czasami usiąść w samotności w fotelu, wieczorem, wziąć do ręki dobry napój i „wtulić się” we własne myśli. Potrzebujemy samotności, aby wyciszyć się, przemyśleć wiele spraw, oderwać się od codzienności, nabrać dystansu do naszych problemów. Pobyć sami ze sobą. Doświadczenie samotności nie musi od razu być czymś przerażającym. Potrzebujemy jej i wcale od niej nie uciekamy. Nie musimy się bać takich chwil, gdy zostajemy sam na sam z naszymi myślami, tęsknotami, pragnieniami, pod warunkiem, że nie ugniemy się w samotności pod ich ciężarem. Nawet żyjąc samotnie, bez rodziny, poświęcając się najróżniejszym dziełom, można nie czuć się osamotnionym. Życ samotnie, a być wypełnionym ludźmi. Tragiczna jest odwrotna sytuacja: żyć na pozór wśród ludzi, nawet pod jednym dachem z „bliską” osobą i być osamotnionym.

Redaktor: *Nawet w małżeństwie?*

Sparaliżowany: Tak. Żyjesz w niezwyklej bliskości z kimś, kto winien cię kochać i powinien doświadczać jego miłości i zrozumienia na każdym kroku, a nagle wszystko znika. Może nie tak nagle, ale zaczynasz czuć obojętność, dystans, niezrozumienie. W konsekwencji sam zamykasz się na drugą osobę. Nie chcesz być ciągle ranionym. Pojawia się osamotnienie. Brak głębszych relacji. Powoli nie masz już do nikogo zaufania, nie dopuszczasz nikogo do swojego wnętrza – żadnego człowieka, a nawet Boga – bo po co? Relacje nie mają żadnego sensu. Trudno jest powiedzieć, po czyjej stronie była wina. Czasami to inni nas odrzucili, zamknęli się na nas, nie rozumieją nas; czasami to my – zranieni, chowamy się w sobie w obawie przed dalszymi zranieniami. Stajemy się „samotni w tłumie”. Nie, nie wyprowadzamy się na pustynię. Nadal żyjemy, spotykamy się z innymi, pracujemy, ale wszystkie relacje stają się powierzchowne, kurtuazyjne i... puste. Uśmiechamy się do innych ludzi, rozmawiamy, podejmujemy jakieś tematy. Czasami „rzucamy się” między ludzi, za wszelką cenę pragniemy bywać z innymi, bawić się, ale w głębi serca doświadczamy tylko samotności. Niczego więcej. Bo serce nie jest już związane z nikim. I na tym właśnie polega choroba osamotnienia.

Redaktor: *Masz jakąś receptę na to?*

Sparaliżowany: Nie i nie szukaj jej u mnie. Przed chwilą zostałem uzdrowiony z choroby ciała, a nie z choroby osamotnienia. Ale przynajmniej wykrzyczałem ją wobec Jezusa: „Panie nie mam człowieka!”. To nie był ból, że brakuje mi kogoś, kto mnie zaprowadzi do szpitala, kto sprawi, że będę szybszy niż inni. Nie, mój

ból był o wiele większy, o wiele głębszy. W tym jednym zdaniu chciałem powiedzieć więcej: „Panie nie mam nikogo, ale nie tylko po to, aby mnie wprowadził do cudownej sadzawki. Panie, ja nie mam człowieka, który mnie wysłucha, cokolwiek miałbym do powiedzenia, nie mam człowieka, któremu mogę wszystko powierzyć, nie mam człowieka, który podzieli się ze mną swoim wnętrzem, nie mam nikogo, kto mnie będzie zawsze akceptował, niezależnie od tego, co już uczyniłem i co jeszcze zrobię. Panie, ja nie mam nikogo takiego. Jestem sam. Zupełnie sam”.

Redaktor: *I co Jezus na to?*

Sparaliżowany: Powiedział tylko: „Weź swoje łożo i chodź”. I idę. Uzdrawiony po ponad trzydziestu latach bólu i samotności. Ale czy zostałem uleczony z mojego osamotnienia i niewiary w relacje z innymi ludźmi? Tego jeszcze nie jestem pewien.

Redaktor: *Jeśli mogę coś powiedzieć, już widzę znaki polepszenia. Chociażby dzięki naszej rozmowie. Otworzyłeś się przede mną... To już coś. A może kontynuujemy? Dziś wieczorem u mnie, przy dobrym winie. Co ty na to?*

Strażnik



I powstało w tłumie rozdwojenie z Jego powodu. Niektórzy chcieli Go nawet pojmać, lecz nikt nie odważył się podnieść na Niego ręki. Wrócili więc strażnicy do arcykapłanów i faryzeuszów, a ci rzekli do nich: Czemuście Go nie pojmali? Strażnicy odpowiedzieli: Nigdy jeszcze nikt nie przemawiał tak, jak ten człowiek przemawia. Odpowiedzieli im faryzeusze: Czyż i wy daliście się zwieść? Czy ktoś ze zwierzchników lub faryzeuszów uwierzył w Niego? A ten tłum, który nie zna Prawa, jest przeklęty.

J 7, 43-49

Redaktor: *Podobno nie wykonałeś rozkazu...*

Strażnik: *Już wiesz o tym? Okazuje się, że Jerozolima to małe miasteczko.*

Redaktor: *Nie przesadzaj. Nic bym o tym nie wiedział, gdyby nie mój krewny. Służy razem z tobą w świątyni.*

Spotkałem go przed chwilą i po prostu wspomniał mi o tym niecodziennym wydarzeniu.

Strażnik: Co dokładnie ci powiedział?

Redaktor: *Niewiele. Wspomniał tylko, że jeden ze strażników nie wykonał polecenia swoich przełożonych, co nie jest częste. To wszystko, co wiem o całym wydarzeniu. Kiedy żegnałem się z moim krewnym, zauważył ciebie i powiedział, że to o tobie mówił. Dlatego ośmieliłem się podejść.*

Strażnik: Po co? Szukasz sensacji?

Redaktor: *Wyobraź sobie, że nie. Interesuje mnie coś innego, a dokładniej ktoś. Zbieram informacje o człowieku o imieniu Jezus. A z tego, co wiem, to poszło właśnie o Niego.*

Strażnik: Nie mylisz się. Przez Niego to całe zamieszanie i moje kłopoty.

Redaktor: *Jedna rzecz mnie bardzo zastanawia: znając – dzięki mojemu krewnemu – wasze zasady i karność, wydaje mi się, że odmawiając wykonania rozkazu miałeś jakiś ważny powód. Nie wierzę, że był to tylko kaprys. Coś musiało cię zmusić do tego. Wiedziałeś dobrze, czym to grozi.*

Strażnik: Racja. Nie przypuszczałem jednak, że ta prosta misja, która została mi powierzona, skończy się właśnie w ten sposób...

Redaktor: *Tak jak myślę? Zostałeś zwolniony?*

Strażnik: Po dziesięciu latach nienaganej służby! Wyrzucili mnie bez słowa, bez możliwości powrotu. Nikt nie zrozumiał moich wyjaśnień, dlaczego nie wykonałem rozkazu. A może nie chcieli zrozumieć?

Redaktor: *A czy to zadanie było wykonalne? Nikt nas nie zmusi do rzeczy niemożliwych, nawet rozkaz naszych przełożonych. Nie próbowałaś się tak bronić? Nie jesteś przecież zobowiązany do wykonania czegoś, czego wykonać się nie da?*

Strażnik: Zgadzam się z tobą, ale jak ci już powiedziałem, nikt nie chciał mnie słuchać, a poza tym, zadanie było całkowicie wykonalne. Sprzeciwiłem się przełożonym z innych względów. Rozkaz był konkretny i bardzo prosty do wykonania: miałem z moimi ludźmi zatrzymać człowieka o imieniu Jezus. Znam Go, od pewnego czasu moim zadaniem było śledzenie Jego poczynąń na terenie świątyni. Jest nauczycielem, który od dłuższego czasu zakłóca spokój świątyni przez swoje „wywrotowe” nauczanie. Bywa tam dość często. I zawsze ma wokół siebie wielu słuchaczy.

Redaktor: *Nie bądź taki pokorny, moim skromnym zdaniem, wasza misja wcale nie była taka prosta. Sam wspomniałeś, że słuchały Go już tłumy. Miał wielu zwolenników i to nie tylko wśród prostego ludu. Dla mnie aresztowanie Jezusa w świątyni, na oczach wszystkich Jego uczniów, byłoby aktem wręcz szaleńczym i samobójczym. Nie wiem, czy zwróciłeś uwagę, ale On ma zawsze wokół siebie grupę dwunastu najbardziej zaufanych ludzi. Jak myślisz, po co wybrał tę dwunastkę przede wszystkim spośród prostych rybaków? Aby zro-*

bić z nich intelektualistów? Nie, aby mieć dobrą ochronę. Może dobrze, że Go nie aresztowałeś, bo mogłyby się z tego zrobić niezłe zamieszki w Jerozolimie. A Rzymianie tylko na to czekają...

Strażnik: Nie, w takich kategoriach na to nie patrzyłem. Dla mnie zatrzymanie Jezusa nie byłoby czymś nadzwyczajnym. Wiele razy wykonywaliśmy podobne zadania. W świątyni pojawia się wielu szaleńców, „nawiedzonych”. Niektórzy z nich to po prostu ludzie chorzy, innych w naszym żargonie nazywamy „reformatorami” – chcą „ulepszyć naszą wiarę”, do tej grupy zakwalifikowałbym Jezusa, a jeszcze inni robią tylko różne dziwactwa po to, aby ktoś w końcu zwrócił na nich uwagę. Właściwie nie ma dnia, abyśmy nie musieli interweniować w takich sprawach. Najpierw krótka rozmowa, potem mała groźba, a jeśli trzeba, to w końcu używamy siły. Ostatecznie tutaj jest świątynia, a nie bazar. Pod żadnym pozorem nie wolno naruszać porządku, dlatego naszym zadaniem jest dyskretne usuwanie ze świątyni wszystkich zakłócających spokój. Najczęściej wyprowadzamy ich poza zabudowania świątynne, łagodnie perswadujemy, że „jak jeszcze raz się tu pojawisz to...” i na tym nasza rola się kończy.

Redaktor: *I działa takie „upomnienie”?*

Strażnik: W zasadzie tak. Rzadko kiedy ktoś zjawia się po raz kolejny.

Redaktor: *A często musicie używać siły dla wyprowadzania kogoś?*

Strażnik: Nie, mało kto stawia opór. Dlatego nie przewidywałem większych kłopotów, kiedy dostałem zadanie usunięcia Jezusa. Chociaż jedna rzecz uderzyła mnie od razu...

Redaktor: *Jaka?*

Strażnik: Kazano nam Go aresztować, a nie tylko usunąć z terenu świątyni.

Redaktor: *Nie przypuszczałeś, że może być aż tak niebezpieczny?*

Strażnik: Właśnie. Poznałem Go, bo jak ci wspomniałem, zlecono mi śledzenie Jego poczynąń na naszym terenie. Czasami zastanawiałem się, co kieruje Jezusem, aby przychodzić tu i nauczać? Z pewnością nie był ani szaleńcem, ani chorym, ani nawiedzonym reformatorem. Takich rozpoznaję już na odległość. Wspomniałeś, że ma wielu zwolenników, ale Jego zachowanie nawet w tym względzie jest inne niż wszystkich nauczycieli czy reformatorów, których spotkałem.

Redaktor: *Dlaczego?*

Strażnik: Bo nie chciał zwracać na siebie szczególnej uwagi, robić sensacji, usuwał się na bok. Nie szukał słuchaczy. To raczej tłum Go poszukiwał, starał się wytropić, czy przybył na święta, czy będzie nauczał, czy będzie uzdrawiał, gdzie aktualnie przebywa? Czekano na niego szczególnie przy okazji wielkich świąt. „Przecież musi przyjść” – powtarzali wszyscy. Gdy tylko się pojawiał, natychmiast wyrastał wkoło niego tłum

ludzi – wszyscy wpatrzeni w Jego usta, chłonący każde Jego słowo. Nie, z pewnością to nie jest żaden szaleńiec, który za wszelką cenę chce zaistnieć, choćby robiąc zamieszanie na placu w świątyni. Jezus jest inny. Wiedziałem dobrze, że prędzej czy później skończy się to dla Niego nie najlepiej. Kapłani i faryzeusze od dłuższego czasu bacznie przyglądali się Jego działalności, a to nie wróżyło nic dobrego.

Redaktor: *A dzisiaj wydarzyło się coś nadzwyczajnego?*

Strażnik: I tak i nie. Jezus ponownie pojawił się na jednym z dziedzińców świątynnych. Moi ludzie natychmiast mi o tym donieśli. A ponieważ doszedł już do mnie rozkaz Jego aresztowania, poleciłem, aby uważnie śledzili każdy Jego krok, a wręcz nakazałem, aby bardzo uważnie przysłuchiwali się wszystkim Jego wypowiedziom i doszukiwali się w nich jednego – nawiązania do buntu.

Redaktor: *Po co ci to było potrzebne?*

Strażnik: Chciałem mieć konkretny powód Jego aresztowania. Nie znoszę zatrzymywania kogokolwiek bez podania przyczyny takich działań. Człowiek ma prawo od samego początku wiedzieć, o co jest oskarżany. Również w przypadku Jezusa potrzebowałem motywu, a przynajmniej jakiegoś pretekstu.

Redaktor: *Doczekałeś się?*

Strażnik: Nie. Po godzinie strażnicy dali mi znać, że panuje spokój, Jezus naucza, ale nie podnosi żadnych draż-

liwych kwestii politycznych. Stwierdzili, że można Go tolerować, nie dał żadnego powodu do aresztowania. Wezwali mnie jednak kapłani i bez żadnego wyjaśnienia powtórzyli rozkaz: „Aresztuj Go i przyprowadź do nas”. Zapytałem tylko, jaki zarzut mam Mu postawić w momencie zatrzymania. Usłyszałem, że jaki mi się podoba. Mam Go przyprowadzić do nich i koniec. Moi ludzie byli na miejscu już od samego rana, więc i ja się tam udałem, aby osobiście dopilnować wykonania tego – jak mi się wydawało – łatwego zadania. „Na miejscu przyjdzie mi coś do głowy”, pomyślałem sobie i od razu pojawił się konkretny pomysł: oskarżę Go np. o kradzież. Dzięki temu będę mógł bez problemów dostarczyć Go arcykapłanom i uczonym w Piśmie.

Redaktor: *Myślisz, że ludzie uwierzyliby w złodziejstwo Jezusa? Przecież powszechnie uważa się Go za osobę świętą, a nawet za proroka czy Mesjasza...*

Strażnik: Nie przerywaj. Gdy przyszedłem na miejsce, Jezus jeszcze przemawiał.

Redaktor: *Nie obawiałeś się reakcji ludzi, a przede wszystkim Jego uczniów?*

Strażnik: Są na to sposoby. Gdy tylko Jezus miał skończyć mówić, jedna grupa miała zrobić małe zamieszanie w przeciwległym końcu dziedzińca, mieli zacząć okładać jakiegoś przypadkowego przechodnia, narobić trochę hałasu. W ten sposób – na moment – odwróciłyby się uwagę tłumów, w tym czasie druga grupa szybko podeszłaby do Jezusa i bez żadnego słowa zabrała Go ze sobą. Wątpię, że stawiałby opór. Trzecia grupa

miała powstrzymać ewentualnych obrońców Jezusa. Rozkazy wydałem bardzo dyskretnie, nikt z obecnych na dziedzińcu niczego się nie domyślał. Zresztą wszyscy byli tak zaszuchani w Jezusa, że... Właśnie, ale dlaczego wszyscy Go tak słuchają? Mimowolnie sam nadstawiłem ucha. Nie pamiętam dokładnie *co* mówił, ale zapamiętałem *jak* mówił. Tak jeszcze nikt nie przemawiał w Izraelu, jak długo żyję i pełnię posługę w świątyni, nikogo takiego nigdy nie słyszałem. Nie przemawiał jak zwykły nauczyciel, w Jego słowach kryła się przedziwna moc, sam sposób mówienia skupiał na sobie uwagę, przyciągał. Pozostać z boku, przejść obojętnie – to było niemożliwe. Ten głos jakby posiadał absolutną władzę, nie znał sprzeciwu, posiadał jakiś boski mandat, a jednocześnie był przeniknięty łagodnością i szacunkiem dla każdego słuchacza.

Redaktor: *Może jeszcze miałeś wrażenie, że mówił nie do wszystkich, lecz tylko do ciebie?*

Strażnik: Skąd wiesz?

Redaktor: *Ja też miałem okazję Go słuchać...*

Strażnik: Właśnie. Jezus jakby wyczuwał, co dzieje się w sercu każdego, kto Go słucha. Słowa były adresowane do wszystkich, a wydawało mi się, że mówił tylko do mnie, co więcej – mówił o mnie. Nie zwracał się do tłumów, lecz do mnie – jedyne go słuchacza. Jego słowa poruszały moje serce, dotykały, wносиły pewien niepokój, a jednocześnie dawały natychmiastowe ukojenie. Czegoś takiego jeszcze nigdy nie doświadczyłem, a przecież słuchałem niejednego nauczyciela. Zadzi-

wiło mnie to, że trafił najpierw do serca, a dopiero później treść docierała do rozumu: mówił o Bogu, tajemnicy miłosierdzia, opowiedział jakąś przypowieść.

Redaktor: *Zatrzymaliście Go w końcu?*

Strażnik: Nie. Nie wiem, ile czasu trwało Jego nauczanie. Z tego przedziwnego stanu wyrwała mnie nagle cisza: po prostu Jezus przestał mówić. Rozejrzałem się wokół siebie. Moi ludzie wpatrywali się we mnie, czekali na umówiony sygnał. Wystarczyłoby jedno skinienie mojej głowy, a wszystko by się zaczęło: przypadkowy przechodzień... Dałem znak, ale... że się wycofujemy. „Dlaczego? Co się stało?” – mówiły spojrzenia moich ludzi. „Jeszcze nie dzisiaj” – powiedziałem do najbliższego strażnika i poszedłem w stronę siedziby kapłanów.

Redaktor: *Poszedłeś od razu do nich? Po co? Chciałeś się od razu wytłumaczyć z niewykonanego rozkazu, czy liczyłeś na to, że ich przekonasz, iż Jezus jest całkowicie niegroźny?*

Strażnik: Raczej to drugie.

Redaktor: *Jak już wiem od ciebie, wszystko skończyło się fiaskiem. Wylądowałeś na bruku.*

Strażnik: Tak. „Zatrzymany?” – zapytano mnie, zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć. „Nie” – odpowiedziałem z całkowitym spokojem. „Nie mamy go”. „Dlaczego, co się stało?” – starali się dociec arcykapłani i faryzeusze. „Tłum był zbyt liczny? Uczniów było zbyt

dużo?” – pytali jeden przez drugiego. I wtedy nie wiem, co we mnie wstąpiło, że... powiedziałem im prawdę. „Nikt jeszcze nie przemawiał w Izraelu jak ten człowiek, nie mogliśmy Go porwać, bo to raczej On nas porwał... swoimi słowami” – wyrzuciłem z siebie. „A więc i wy daliście się zwieść?” – usłyszałem. Chciałem jeszcze coś powiedzieć, wyjaśnić, ale to już było na nic. Powtarzali: „Złamałeś rozkaz, naruszyłeś posłuszeństwo, które nam przyrzekałeś. Jesteś nikim, zerem”. A potem już mnie tylko wyrzucili...

Redaktor: *Po co im powiedziałeś prawdę? Mogłeś podać jakąś „oficjalną” wersję, tak dla świętego spokoju. Potrzebne ci to było?*

Strażnik: Tak, było mi to potrzebne. W końcu wyzwoliłem się z lęku i powiedziałem im, co na prawdę myślę. Ile lat można żyć w fałszywym posłuszeństwie”?!

Redaktor: *Czy chcesz przez to powiedzieć, że posłuszeństwo zwierzchnikom, przełożonym to jakaś pomyłka? Wyobrażasz sobie wojsko bez posłuszeństwa, bez dyscypliny, bez hierarchii. Ja osobiście – nie. Mam wrażenie, że chcesz być jeszcze większym reformatorem i rewolucjonistą niż sam Jezus.*

Strażnik: Spokojnie. Nie gorączkuj się. Spróbuję ci to wyjaśnić. Nigdy przez wszystkie lata mojej służby nie odmówiłem wykonania żadnego zadania. Możesz zapytać swojego krewnego. Życiorys mam nienaganny i czyściutki. I chyba teraz trochę tego żałuję...

Redaktor: *O raju, z tobą jest gorzej niż myślałem!*

Strażnik: Dzisiaj nie wykonałem rozkazu. I nie żałuję tego. Z pewnością będzie mnie to trochę kosztowało. Zbuntowałem się i to nie dlatego, że moja misja była niemożliwa do realizacji, ale dlatego, że polecenie było głupie i złe. Jakim prawem miałem zatrzymać człowieka, który nie zrobił nic złego? Tylko dlatego, że moi przełożeni mi tak karzą? Kim ja jestem w ich ręku? Pionkiem? Narzędziem? Czy ja nie mam prawa w pewnych sytuacjach ocenić, co jest dobre, a co złe? Czy inni, tylko dlatego że mają więcej władzy niż ja, a ponadto władzę nade mną, stają się automatycznie nieomylni? Wątpię w to. Zachowują się tak, jakby posiadali patent na prawdę. Co więcej, całkowicie zatracają w sobie zdolność słuchania innych. Coś mówisz do nich, starasz się wyjaśnić, tak jak ja dzisiaj, a do nich to po prostu nie dociera, oni tego nie chcą słuchać. Dlaczego? Bo złamałeś w ich oczach najświętszą rzecz – posłuszeństwo. Ich już nie interesuje z jakich racji, z jakiego powodu, czy było to konieczne. Nie, to nie ma najmniejszego znaczenia. Według nich bowiem naruszyłeś najważniejszy fundament, na którym opiera się władza, porządek społeczny. Przestaje liczyć się człowiek, jego zdolność do samodzielnych decyzji, oceny, liczy się zasada posłuszeństwa, która ma być twoim największym – jeśli nie jedynym – dobrem. Poza nią nie ma właściwie nic. Zapominają, że posłuszeństwo nie jest celem samym w sobie, jest tylko środkiem, pomocą, aby wzajemnie pomagać sobie w realizowaniu dobra. Jeśli bycie posłusznym nie wiąże się z konkretnym, dostrzegalnym dobrem twoim i innych, ponadto ukazany przez przełożonych jasno i wyraźnie, wtedy taka postawa zatracą swój sens. Staje się zasadą dla zasady. Nie masz rozumieć, nie masz pytać, nie masz

poszukiwać dobra – bo jedynym twoim dobrem jest...
posłuszeństwo.

Redaktor: *Czy zdajesz sobie sprawę, że według twoich słów władza jest nam niepotrzebna? Żadnych przełożonych, żadnych przywódców. Anarchia!*

Strażnik: Ależ ja nie neguję sensu władzy, tylko sposób w jaki nadużywa ona zasady posłuszeństwa. Władza jest potrzebna, chociażby po to, aby organizować życie większej grupy ludzi, dostrzegać potrzeby całości, pomagać w wyzwolaniu potencjału dobra, który tkwi w każdym człowieku, rozwijać je...

Redaktor: *Kolego, ale teraz to się rozmarzyłeś...*

Strażnik: A wracając do posłuszeństwa...

Redaktor: *Jeszcze masz coś do powiedzenia na ten temat?*

Strażnik: Po tylu latach życia w ślepych posłuszeństwie... Posłuszeństwo jest dobrą rzeczą, ale jest też czymś niebezpiecznym. Zastanawiam się, dlaczego ludzie dobrowolnie i świadomie wybierają życie w bezrozumnym posłuszeństwie. Przecież ja też w nim żyłem przez lata.

Redaktor: *I według ciebie dlaczego tak się dzieje?*

Strażnik: Posłuszeństwo czasami jawi się jako atrakcyjne, bo... zwalnia z trudu podejmowania decyzji i, co za tym idzie, z ponoszenia konsekwencji. Ja nie muszę już za dużo myśleć, robią to za mnie inni. Czekam, aby

mi powiedziano, podpowiedziano, a nawet zrobiono za mnie. Nie martwię się o skutki moich decyzji, ponieważ tylko wypełniam posłusznie to, co mi nakazano. Odpowiedzialność ponoszę więc nie ja, lecz mój zwierzchnik. Nie czepiajcie się mnie, lecz jego. Posłuszeństwo w tym momencie polega na bezgranicznym oddaniu się przełożonemu, ale co za tym idzie, staje się bezkrytyczne, a to już jest niebezpieczne, gdy rezygnujemy z używania swojego rozumu. Może się to wydać paradoksalne, a nawet śmieszne, ale posłuszeństwo – dla pewnej grupy ludzi – jest wygodne. Przybiera formę „łatwizny życiowej”. Wystarczy, że będzie nasz przełożony, do którego pójdziemy i zapytamy: „Powiedz, co mam zrobić. Ja to wykonam, tylko powiedz, jak mam żyć i co wybrać”. Gdy mi coś nie wyjdzie, winę, w swoim sumieniu, mogę zawsze zrzucić na kogoś innego.

Redaktor: *Czyli według ciebie posłuszeństwo nie ma żadnego sensu?*

Strażnik: Oczywiście, że ma. Rozumne! Istnieją jednak granice posłuszeństwa, o których nie wolno nam zapomnieć. Posłuszeństwo nie zwalnia z odpowiedzialności, zwłaszcza za godność człowieka, również moją własną. Co więcej – jesteśmy wręcz zobowiązani do nieposłuszeństwa, gdy któraś z tych wartości – Bóg, drugi człowiek, czy ja sam – zaczynają być deptane... w imię posłuszeństwa. Ale musimy już kończyć, bo czas, abym zaczął się rozglądać za nową pracą. W końcu dzisiaj wyrzucono mnie ze służby...

Bankier świątynny



Zbliżała się pora Paschy żydowskiej i Jezus udał się do Jerozolimy. W świątyni napotkał siedzących za stołami bankierów oraz tych, którzy sprzedawali woły, baranki i gołębie. Wówczas sporządziwszy sobie bicz ze sznurków, powypędzał wszystkich ze świątyni, także baranki i woły, porozrzucił monety bankierów, a stoły powywracał. Do tych zaś, którzy sprzedawali gołębie, rzekł: Weźcie to stąd, a nie róbcie z domu mego Ojca targowiska. Uczniowie Jego przypomnieli sobie, że napisano: Goriwość o dom Twój pożera Mnie. W odpowiedzi zaś na to Żydzi rzekli do Niego: Jakim znakiem wykażesz się wobec nas, skoro takie rzeczy czynisz? Jezus dał im taką odpowiedź: Zburzcie tę świątynię, a Ja w trzech dniach wzniosę ją na nowo. Powiedzieli do Niego Żydzi: Czterdzieści sześć lat budowano tę świątynię, a Ty ją wzniesiesz w przeciągu trzech dni?

J 2, 13-20

Redaktor: *Jak dzisiaj szły interesy?*

Bankier: Fatalnie. Do południa mały ruch w świątyni, a potem jeszcze ten szaleniec... Tak już jest w naszej branży: raz lepiej, raz gorzej, ale nie narzekam. Zyski są i zawsze będą. Taki zawód. Zazdrościsz, Redaktor-ku?

Redaktor: *Nie będę z tobą na ten temat dyskutował. Może rzeczywiście pieniędzy wam nie brakuje, ale sam wiesz, jak ludzie czasami pogardliwie na was patrzą. Nic nie produkujecie, a tylko obracacie naszymi pieniędzmi i z tego życie. I to całkiem nieźle. Interesuje mnie jednak coś innego, w końcu jestem reporterem i gonię za sensacjami jak ty za pieniędzmi. Wspomniałeś o jakimś szaleńcu w świątyni. Czyżby znowu jakiś niezrównoważony psychicznie wtargnął do świątyni?*

Bankier: Co do tego mam wątpliwości. Masz rację, najprościej byłoby powiedzieć: szaleniec, chory psychicznie. Przede wszystkim wiadomo, jak z takimi ludźmi postępować. Postaraj się być życzliwy, miły, a następnie dyskretnie i z całkowitym spokojem wyprowadź go za teren świątynny i najlepiej przekaz w ręce rodziny. Tacy ludzie budzą współczucie, ale jest ich nie mało. Z drugiej strony to miejsce, świątynia przyciąga ich do siebie. Lubią tutaj przebywać. Może czują się tu bezpiecznie, wyczuwają, że jedynie Bóg jest w stanie ich zrozumieć. Nie wiem. Ale poprzez te lata pracy w świątyni widziałem już niejednego pomyleńca. Jedni cisi i spokojni, inni hałaśliwi, czy wręcz agresywni. Krzyczą, zwracają na siebie uwagę, gestykują, aby po pewnym czasie, gdy nikt nie zwraca na nich już uwagi,

zwyczajnie zamilknąć. Do rzadkości należy ingerencja straży świątynnej. Istnieje jakiś szacunek wobec tych ludzi. Może jest w nas przekonanie, że ci, w naszych oczach pokrzywdzeni ludzie, mimo wszystko są blisko Boga. Nawet bliżej niż my sami. Są szczególnie uprzywilejowani w Jego oczach. Patrząc na nich mam czasami wrażenie, że to oni są bardziej szczęśliwi niż ja. Choć zamknięci w świecie swego umysłu, promieniają z nich coś, czego można im tylko pozazdrościć.

Redaktor: *Jesteś bankierem czy filozofem? Przepraszam za ironię, ale znasz mnie, interesuje mnie ten dzisiejszy szaleniec, a nie twoje metafizyczne rozważania. Potem pofilozofujemy. Z tego co mówisz, wynika, że nie był to „normalny wariat”?*

Bankier: Nie mylisz się. Co więcej, pewnie już o Nim wiele słyszałeś. Jest bardzo dobrze znany. Jedni uważają Go za nauczyciela, za proroka, a nawet za Mesjasza. Inni za pospolitego oszusta i niebezpiecznego buntownika.

Redaktor: *Chyba nie masz na myśli Jezusa!*

Bankier: Trafiłeś w dziesiątkę! Chodzi właśnie o Niego. Ale to, co dzisiaj pokazał... Nie, takiego Go ludzie chyba jeszcze nie widzieli.

Redaktor: *Mów wreszcie!*

Bankier: Z tego co wiem, Jezus jest uosobieniem łagodności, życzliwości, pokoju. Owszem stawia wymagania ludziom, ale cała Jego nauka, o ile mi wiadomo,

jest wielkim wezwaniem do miłości. „Miłuj Boga, bliźniego i samego siebie”. Oto w największym skrócie doktryna Jezusa. Nic dodać nic ująć. A tak na marginesie, to według mnie jedynie ta ostatnia forma miłości – siebie samego – jest godna realizacji. Co więcej, Jezus z Nazaretu zachęcał podobno do miłowania nawet swoich nieprzyjaciół: „Jeśli ktoś cię uderzy w prawy policzek, nadstaw mu drugi”, albo inny cytat z Jego nauki: „Miłujcie waszych nieprzyjaciół, a będziecie doskonali jak wasz Ojciec niebieski”. Teoria teorią, a życie życiem. Kiedy patrzyłem dzisiaj na Jezusa, na Jego gniew, złość, to niewiele miało to wspólnego z miłością nieprzyjaciół. Chyba, że ja tu czegoś nie rozumiem. W końcu jestem tylko bankierem, a nie uczonym w Piśmie. A może ta nauka o szacunku i miłości dla naszych wrogów jest tylko dla innych, na pokaz, a sam wielki nauczyciel nie musi się do niej stosować? Przynajmniej dzisiaj tak to wyglądało.

Redaktor: *Nie wierzę własnym uszom, czyżby Jezus kogoś zdzielił? Pewnie arcykapłanów i uczonych w Piśmie? Oni zawsze usiłowali wyprowadzić Go z równowagi. W końcu im się udało. Niesamowite.*

Bankier: Po części zgadłeś. Rzeczywiście, oberwało się, ale nie uczonym w Piśmie i faryzeuszom – im to by się skądinąd słusznie należało – lecz właśnie nam, uczciwym kupcom i bankierom. No może nie takim uczciwym, ale tak czy inaczej, czy jest to od razu powód, aby rzucać się na nas z biczem? Wszystko wywracać do góry nogami, wydzierać się na nas? Czemu byliśmy winni? Na jakiej podstawie? Co takiego zrobiliśmy? Cudem tylko unikałem Jego uderzenia. Skończyło się na wywróceniu mojego stołu z pieniędzmi. Nie wiem,

czy nie wolałbym już dostać baty, ale przynajmniej nie stracić moich pieniędzy. Dzięki niech będą Najwyższemu, że udało mi się je wszystkie pozbierać! Możesz sobie wyobrazić, co zaczęło się dziać, gdy nagle spora suma pieniędzy znalazła się na ziemi. A wokół tylko rozgardiasz, tłum, przepychanki. Wszyscy rzucili się na monety jak dzicy. O nie, wcale nie po to, aby pomóc mi je pozbierać. Jak już coś leży na ziemi, to jest bezpańskie, a więc w każdej chwili może stać się moje. To nic, że jeszcze przed chwilą pieniądze leżały na moim stole, należały do kogoś innego. Gdy tylko znalazły się pod stołem, stały się własnością wszystkich. Walczyłem o każdą monetę. Kłóciłem się, wydierałem z rąk, kazałem wypróżniać kieszenie. Opłaciło się. Po przeliczeniu nie brakowało nawet najmniejszego grosika. Chyba z wdzięczności złożę jakąś ofiarę. Znowu ten ironiczny uśmiech na twojej twarzy. Wiem, z tą ofiarą to przesadziłem.

Redaktor: *Chyba był jakiś powód złości Jezusa. Nie chce mi się wierzyć, że Jezus wpadł w taki gniew bez żadnej przyczyny: nagle coś Mu się przywidziało i rzucił się na was... Przyznaj się, o co poszło między wami.*

Bankier: O nic. Wierz mi albo i nie, ale nie było żadnej konkretnej przyczyny. Było to tak niespodziewane, jak gdyby w środku pięknego poranka, przy bezchmurnym niebie, nagle rozpętała się potworna burza. Znikąd. Bez ostrzeżenia. Nie było żadnego zatargu między nami a Jezusem. Nawet w swoich naukach wyzywał się raczej na uczonych i faryzeuszach...

Redaktor: *Nie bądź taki niewinny. O ile ja znam naukę Jezusa, to suchej nitki nie zostawiał na takich jak ty –*

bogaczach. „Łatwiej jest przejść wielbłądowi przez ucho igielne, niż wejść bogatemu do Królestwa niebieskiego”. „Błogosławieni ubodzy – nie bogaci – albo-wiem oni na własność posiadą ziemię”, albo przypowieść o bogaczu i Łazarzu. Wystarczy?

Bankier: Zgoda, Jezus ma dystans do bogactwa. To Jego sprawa. My jednak nie wchodziliśmy Jezusowi w drogę. Nie prowokowaliśmy Go tak jak faryzeusze i uczeni w Piśmie. Ma swoje teorie na temat bogactwa, ja Mu ich nie zabraniam. Niech sobie je głosi i mami innych ludzi. Przecież ja nikogo nie zmuszam, aby kochał pieniądź. Nie odmawiam Jezusowi prawa do ubóstwa, ale niech nie przeszkadza bogacić się innym, jak już sam tego nie chce. A może nie potrafi? Przynajmniej niech nam da święty spokój.

Redaktor: *I dał wam – do dzisiaj... Nadal mnie ciekawi, co konkretnie wywołało tę eksplozję gniewu Jezusa?*

Bankier: Mówiłem ci już – nie wiem. Pracowaliśmy jak zwykle: kupcy, bankierzy, wokół nas pełno zwierząt, pielgrzymów, zgiełk, okrzyki przy targowaniu się. Nawet nie zauważyliśmy, że pojawił się Jezus. Nikt z nas nie zamienił z Nim ani jednego słowa. Wpadł nagle między nas i zaczęło się. Powywracał stoły, powypędzał zwierzęta. Uciekliśmy w popłochu, bo jak rozmawiać z człowiekiem, który nie panuje nad sobą? Wpadł w jakiś obłądny szal!

Redaktor: *Aresztowano Go za zakłócanie porządku?*

Bankier: Nie. Temu się trochę dziwię, chociaż... Pewnie wśród strażników świątynnych są już Jego zwolennicy.

A ponadto jest w Nim coś, co budzi respekt. Pojawia się w człowieku jakiś lęk. Nie wiadomo, a może On jest wysłańcem Boga? Skąd miałby moc do czynienia tych wszystkich cudów, o których aż głośno w całym Izraelu? Podniosę na Niego rękę, a okaże się, że to prorok Najwyższego i co wtedy. Lepiej być ostrożnym. Jeśli to tylko człowiek, to Jego nauka szybko przeminie, ale jeśli to prorok, to lepiej z nim nie zadzierać.

Redaktor: *Wy, bankierzy, jesteście pragmatykami.*

Bankier: Ostrożności nigdy za wiele. Z każdym trzeba umieć dobrze żyć. Rządy się zmieniają, ludzie także, a my zawsze będziemy potrzebni – każdemu.

Redaktor: *Wróćmy jednak do Jezusa. Co było dalej? Czy Jezus skomentował w jakiś sposób to wydarzenie? Wygłosił jakąś naukę?*

Bankier: Żadnej nauki nie było. Raczej krótka wymiana zdań. Kiedy wypędził wszystkich ze świątyni, oczywiście chodzi o sprzedających woły i baranki oraz nas bankierów, do tych, co sprzedawali gołębie, powiedział, aby wzięli je stąd i nie robili z domu Jego Ojca targowiska. Świątynia jerozolimska to dom Jego Ojca? I jak nie traktować Go jako szalonego. Obłąd. Ktoś ze stojących nie dał za wygraną i zareplikował: „Jakim znakiem się wykażesz, że takie rzeczy czynisz?” W odpowiedzi padły jeszcze bardziej szalone słowa z Jego strony: „Zburzcie tę świątynię, a Ja w trzech dniach wzniosę ją na nowo”. Chyba wszystkim w tym momencie opadły ręce. Nie, On naprawdę nie może być normalny. Kto przy zdrowych zmysłach chciałby burzyć

naszą ukochaną świątynię, którą tak pieczołowicie odbudowywaliśmy z ruin przez tyle lat. Kto? Pytam się – kto? Kto z Żydów miałby odwagę podnieść rękę na świątynię Boga? A odbudować ją przez trzy dni? Samemu? Czterdzieści sześć lat ją wznoszono w trudzie setek osób, a On chciałby ją podnieść z ruin w ciągu kilku dni? Jakim cudem? Bo bez cudu by się to nie udało. Żadną miarą. Nikt nie kontynuował już rozmowy z Jezusem. Szkoda tego człowieka.

Redaktor: *A może mimo wszystko Jezus chciał przez swoje zachowanie zwrócić na coś uwagę? Przyglądałem się Jego działalności i nie chce mi się wierzyć, że za tym nie kryje się jakieś ważne przesłanie.*

Bankier: Jakie? Nie wymagaj ode mnie za wiele.

Redaktor: *Od lat pracujesz w świątyni. Zastanawiałeś się kiedyś, po co ludzie tam przychodzą?*

Bankier: Przecież to oczywiste. Przychodzą złożyć ofiarę, wypełnić swój religijny obowiązek.

Redaktor: *Właśnie – obowiązek. Ludzie kupują woła, owcę, gołębia, dają je kapłanom, którzy składają je w ofierze na ołtarzu, a sami mogą spokojnie wracać do domu. Obowiązek spełniony, jesteśmy pobożni i na jakiś czas mamy to wszystko z głowy. Może krzywdzę wielu ludzi, ale wydaje mi się, że poza spełnieniem jakiegoś nakazu u niektórych nie ma nic więcej. Wypełniają go z różnych przyczyn, chociażby dlatego że tak wypada, bo należą do narodu żydowskiego, bo co powiedzą inni, tylko po to, aby dzieci się nie gorszyły i miały jakiś przy-*

kład. Ale czy w takim wypadku wiara ma jakiś związek z ich życiem? Czy jest przeniknięta osobistą modlitwą, zaufaniem Bogu? Z drugiej strony dobrze, że spełniają jakieś praktyki, ale w ilu wypadkach są one tylko pustą formalnością. Najsmutniejsze jest to, że relacja z Bogiem zaczyna przypominać transakcję handlową: „Ja Ci Boże coś dam, wypełnię lepiej lub gorzej obowiązki religijne, a Ty mi za to musisz błogosławić. Coś za coś”.

Bankier: Wymiana handlowa z Bogiem? Zaczyna mi się to podobać... Znowu przesadziłem. Bo co to byłby za Pan Bóg, który odpowiadałby na wołanie człowieka w zależności od ilości i jakości złożonych w ofierze wołów? Jak bardzo taka wizja Boga byłaby odległa od tego, co zostało objawione w naszych Pismach! Myślisz, że Jezus chciał wstrząsnąć ludźmi, aby zastanowili się nad swoją pobożnością? Jak ją należy wyrażać?

Redaktor: *Tak. Patrzcie, patrzcie, bankier, a jeszcze zachował w sobie odruch myślenia! Potrafi myśleć o czymś innym niż o pieniądzach! (Teraz to ja byłem uszczypliwy.) Miałbyś jakiś pomysł na ową dojrzałą religijność, odmienną niż ta, którą dzisiaj Jezus wypędzał ze świątyni?*

Bankier: Wydaje mi się, że trzeba zacząć od tego, o czym przed chwilą wspomniałem, od obrazu Boga. Kim On dla ciebie jest? Straszny Sędzią, który czyha na każde twoje wykroczenie? A może właśnie... Ojcem? Świątynia ma być świątynią Ojca! Przecież właśnie o tym mówił dzisiaj Jezus wypędzając nas stąd! Bo czy miłość do Ojca polega na handlu wymiennym? Czy

można sprowadzić miłość rodziców do dzieci i dzieci do rodziców do obustronnej wymiany towarów? „Będę cię kochał, gdy zrobisz to i to, odpowiem na twoją miłość, pod warunkiem, że dostanę to, o czym marzę”. Miłość nie ma warunków i chyba tym właśnie różni się od wszystkiego, co jest na tym świecie, co można wymienić na pieniądze lub za nie kupić. Miłości się nie kupuje, ani tej ludzkiej ani tej boskiej. Ona jest niezasłużonym darem.

Redaktor: *Pewnie dlatego Jezus tak bardzo pragnie oczyścić nasze motywacje religijne. Mamy czcić Boga, ale nasza pobożność nie ma wypływać ani z lęku przed karą, ani z oczekiwania, że coś otrzymam w zamian, ani z tej tylko przyczyny, że tak wypada, bo wszyscy tak czynią. Nie, oddaję cześć Bogu, ponieważ On pierwszy mi się objawił, wybrał mnie, zapragnął podzielić się ze mną swoim życiem. Religijność polega na tym, że pragnę z całego serca przyjąć te dary, które są wyrazem miłości samego Boga.*

Bankier: Przyszła mi jeszcze jedna myśl do głowy patrząc na moje własne życie. Jak się domyślasz, nie jestem człowiekiem bardzo religijnym, mimo iż całymi dniami przebywam w pobliżu świątyni i wydawałoby się komuś, że wystarczy wejść chociaż na chwilę, pomodlić się...

Redaktor: *Ale kto by w tym czasie pilnował interesu?*

Bankier: No właśnie. Ale ja nie modłę się nie z tej racji, że nie mam na to czasu, ale dlatego, że nie potrafię odnaleźć w tym sensu. Kiedyś, owszem, odmawiałem

regularnie przepisane prawem modlitwy. W jakimś jednak momencie zapytałem się: po co? Przecież ja nic nie czuję, kiedy je odmawiam, są suchymi formułkami, powtarzanymi bezmyślnie każdego dnia. Niczego nie przeżywam, są dla mnie puste i martwe. A kiedy już zaczynałem się modlić, to zamiast wnieść swoje myśli do Boga, wznosiłem je raczej do moich problemów, spraw, kłopotów. Nie potrafiłem w żaden sposób pozbyć się tych wszystkich rozproszeń. Jak taka modlitwa może podobać się Bogu?

Redaktor. *Nie chcesz chyba powiedzieć, że lepiej w ogóle z niej zrezygnować?*

Bankier: Nie, oczywiście, że nie. Chodzi mi o coś innego. Wydaje mi się, że dojrzała wiara, religijność nie polega na tym, że nie pojawiają się żadne kryzysy (choćby jak ten mój, związany z modlitwą). Gdybym jednak chciał się zachować dojrzałe, należało zastanowić się, co zmienić, jak wybrnąć z tej sytuacji, chociażby przemyśleć, na czym w ogóle polega modlitwa, a nie wybrać rozwiązanie najprostsze, najszybsze, ale całkowicie niedojrzałe – po prostu porzucić wszelką modlitwę. Większość ludzi na jakimś etapie życia stawia sobie pytanie o sens swojej wiary, przeżywa pewne kryzysy. To, że one się pojawiają, to nic złego, pytanie: jak z nich wychodzimy.

Redaktor: *Jakie inne kryzysy może spotkać w swoim życiu człowiek wierzący?*

Bankier: Osobiście doświadczyłem jeszcze jednego kryzysu. Chodzi o ciężki grzech. Całkowicie zaprzeczy-

łem swoim życiem temu, w co wierzyłem. I natychmiast pojawiły się myśli: „Po co więc jeszcze chodzisz do świątyni, po co jeszcze się modlisz, zobacz, co zrobiłeś, to już nie ma sensu, skoro jesteś zdolny do takich rzeczy”. Co wybrałem? Ponownie to co prostsze – zostawiłem na boku całą swoją religijność, jak wcześniej swoją modlitwę. Tym razem nawet nie próbowałem zmierzyć się z kryzysem. I jeszcze doszedł do tego jeden czynnik (nie myśl tylko, że teraz na siłę się usprawiedliwiam) – było to środowisko, w którym zacząłem się obracać. Bankierzy, celnicy – większość z nich niewiele ma wspólnego z pobożnością. A już na pewno czymś nieprzyzwoitym byłoby przyznawanie się w tym gronie, że jest się człowiekiem religijnym.

Redaktor: *Nie każdy człowiek religijny musi przechodzić aż tak głębokie kryzysy, ale masz rację, że w momencie, gdy się zjawiają, należałoby walczyć. Dzięki czemu nie tylko nie utracilibyśmy wiary, ale stałaby się ona silniejsza i dojrzała. Kryzys z pewnością jest jakimś zagrożeniem dla wiary, ale przewyciężony staje się szansą.*

Bankier: Teraz to się dobrze mówi, ale wtedy...

Redaktor: *Wiara ma jednak to do siebie, w przeciwieństwie do wielu innych rzeczy w naszym życiu, że nigdy nie jest za późno.*

Bankier: Przyszedł mi do głowy jeszcze jeden pomysł na dojrzałą wiarę. Trzeba chyba odróżnić w niej to, co jest stałe, niezmienne, zasadnicze od wielu form, które można zmieniać i nie są aż tak istotne. W naszej wierze

czasami tak mocno trzymamy się przepisów, iż mam wrażenie, że gdzieś ginie chociażby drugi człowiek, a czasami i sam Pan Bóg. Weźmy jakiś konkretny przykład. Co nakazuje nam Prawo? Wolno pomóc drugiemu człowiekowi w szabat czy też nie? Co jest ważniejsze: człowiek czy przepisy jak zachowywać szabat? Ciekaw jestem, co Jezus by zrobił, gdyby został postawiony w takiej sytuacji? Czy uzdrowiłby człowieka w szabat czy też nie? Ważniejsze są nasze filakterie, obmywania rytualne, skrupulatnie wypełniane przepisy, ale czy jest tam obecny duch Boży? Nie wiem. Może Jezus wypędzając dzisiaj ze świątyni cały ten powierzchowny zgiełk, chciał nas wyprowadzić na głębię wiary?

Redaktor: *Przedziwne! Na początku byłeś tak oburzony na Jezusa za to, co dzisiaj wam zrobił, a teraz jesteś Mu za to wdzięczny. Chyba to znak, że dzisiejsze wypędzenie was ze świątyni miało jednak jakiś sens, przynajmniej dla ciebie.*

Jan



Było to przed Świętem Paschy. Jezus wiedząc, że nadeszła Jego godzina przejścia z tego świata do Ojca, umiławszy swoich na świecie, do końca ich umiłował. W czasie wieczerzy, gdy diabeł już nakłonił serce Judasza Iskarioty, syna Szymona, aby Go wydać, wiedząc, że Ojciec dał Mu wszystko w ręce oraz że od Boga wyszedł i do Boga idzie, wstał od wieczerzy i złożył szaty. A wzięwszy prześcieradło nim się przepasał. Potem nalał wody do miednicy. I zaczął umywać uczniom nogi i ocierać prześcieradłem, którym był przepasany. Podszedł więc do Szymona Piotra, a on rzekł do Niego: Panie, Ty chcesz mi umyć nogi? Jezus mu odpowiedział: Tego, co Ja czynię, ty teraz nie rozumiesz, ale później będziesz to wiedział. Rzekł do Niego Piotr: Nie, nigdy mi nie będziesz nóg umywał. Odpowiedział mu Jezus: Jeśli cię nie umyję, nie będziesz miał udziału ze Mną. Rzekł do Niego Szymon Piotr: Panie, nie tylko nogi moje, ale i ręce, i głowę. Powiedział do niego Jezus: Wykąpany potrzebuje tylko nogi sobie umyć, bo cały jest czysty. I wy jesteście czysti, ale nie wszyscy.

Wiedział bowiem, kto Go wyda, dlatego powiedział: Nie wszyscy jesteście czyści. A kiedy im umył nogi, przywdział szaty i znów zajął miejsce przy stole, rzekł do nich: Czy rozumiecie, co wam uczynilem? Wy Mnie nazywacie Nauczycielem i Panem i dobrze mówicie, bo nim jestem. Jeżeli więc Ja, Pan i Nauczyciel, umyłem wam nogi, to i wyście powinni sobie nawzajem umywać nogi.

J 13, 1-14

Redaktor: *Janie, przepraszam, czy możemy przez chwilę porozmawiać? Nie wiem, czy moment jest odpowiedni. Dowiedziałem się od Waszego gospodarza, że właśnie przed chwilą skończyliście wspólną wieczerzę z waszym mistrzem Jezusem. Idziecie gdzieś teraz razem? Nasza rozmowa nie zabierze dużo czasu.*

Jan: *Idziemy w stronę Góry Oliwnej. Najwyżej dogonię ich za chwilę. Co ciebie tak zaintrygowało, że musisz ze mną porozmawiać?*

Redaktor: *Oczywiście to co wszystkich – postać twojego mistrza Jezusa z Nazaretu. Dosłownie każdy w naszym mieście ma jakieś zdanie na Jego temat. Dla jednych jest prorokiem, dla innych nauczycielem, jeszcze dla innych jest niezwykłym cudotwórcą, a są i tacy – ci pewnie są mniej liczni – którzy uważają Go za Mesjasza. Dlaczego się uśmiechnąłeś?*

Jan: *Ponieważ przypomniałem sobie, że sam Jezus zadał nam kiedyś to pytanie. „Za kogo ludzie mnie uważają?” Przytoczyliśmy mu wszystkie możliwe opinie,*

no może nie wszystkie, nie mówiliśmy, że są i tacy, którzy uważają Go za jakiegoś pomyleńca, chorego człowieka. Większość znanych nam opinii o naszym Mistrzu to takie, jak przytoczyłeś: Prorok, Nauczyciel, Uzdrawiciel, powstały z martwych Jan Chrzciciel, Eliasz. Jezus nie skomentował żadnej. Zadał tylko następne pytanie, trudniejsze, bo dotyczyło nas samych: „A wy, za kogo wy mnie uważacie?” Pamiętam jak dziś – jaka zapanowała cisza! Patrzyliśmy jeden na drugiego. Kto będzie miał odwagę dać odpowiedź? Cisza. Nie wiem, ile ona trwała. W końcu przełamał się Piotr: „Ty jesteś Mesjaszem, Panie”. Zaskoczenie z jednej strony...

Redaktor: *A więc nie byliście wszyscy o tym przekonani?*

Jan: Nie wiem, bo nie rozmawialiśmy o tym między sobą. Był to trochę temat tabu. Ale po wyznaniu Piotra każdy z nas przyznał się, najpierw przed samym sobą, że ta nadzieja, że On jest Mesjaszem, była obecna w sercu każdego i to od samego początku. Od momentu, gdy poszliśmy za Nim. Może baliśmy się ją wypowiedzieć, przyznać się do niej. Tak jasno i wyraźnie powiedzieć, że to On jest właśnie Tym, na którego czekamy, w kim pokładamy wszystkie nasze nadzieje, że to On pojedna nas w końcu z Bogiem. Wyzwoli nas od zła. Pokona wszystkich naszych nieprzyjaciół. To prawda – wiesz o tym dobrze, podobnie jak ja – że inaczej wyobrażaliśmy sobie Mesjasza. Że będzie potężny, pełen chwały, przybywający na zastępach niebieskich, z mocą i siłą, a Jego cuda będą jeszcze bardziej zdumiewające niż te, które nasi ojcowie widzieli w czasie wyjścia z niewoli egipskiej. Ja również takiego Mesjasza oczekiwałem.

A Jezus? Jest inny, na pewno nie pasujący na pierwszy rzut oka do Mesjasza, którego oczekiwaliśmy. Nawet te Jego cuda. To nie była manifestacja siły, chociażby na wzór pochłonięcia wojsk egipskich przez Morze Czerwone. Jego cuda dotyczyły ludzi chromych, cierpiących, poniżanych, ubogich, odpuszczał też grzechy. Ile razy powtarzał nam, abyśmy nikomu o tym nie rozpowiadali. Tak jakby chciał nam pokazać rzecz niezwykłą: Mesjasz pochyla się nad każdym człowiekiem, pragnie dotrzeć do każdego. Może to zabrzmieć dość dziwnie, ale dla mnie On jest nie odkupicielem narodu, państwa – ale Odkupicielem człowieka, każdego, ciebie i mnie, bogatego i biednego, zdrowego i chorego, każdego – bez najmniejszego wyjątku.

Redaktor: *Po czasie spędzonym z Jezusem – jeśli się nie mylę, minęły już trzy lata od początku Jego publicznej działalności i waszego podążania za Nim – nie masz już więc żadnej wątpliwości, że Jezus z Nazaretu, syn Józefa i Maryi, prosty rzemieślnik z Galilei, jest oczekiwanym Mesjaszem? Co więcej, czy rzeczywiście uważasz Go za Syna samego Boga, bo tak o sobie czasami mówił?*

Jan: Tak, nie mam co do tego nawet najmniejszych wątpliwości. Co więcej, to co się wydarzyło w czasie wyczerzy z Jezusem, którą przed chwilą zakończyliśmy, całkowicie mnie w tym utwierdziło. Może nie wszystko jeszcze rozumiem i nawet nie wiem, czy kiedykolwiek to zrozumie, ale co do tego, że Jezus jest naszym Odkupicielem, Synem Bożym, nie mam żadnych wątpliwości. Choć nie skrywam – moje zdziwienie dzisiejszym wieczorem było wielkie.

Redaktor: *Czyżby Jezus dokonał jakiegoś niezwykłego cudu tylko dla was – swoich wybranych uczniów – aby rozwiać wszelkie wątpliwości? Na czym polegał ten niezwykły, jedyny w swoim rodzaju cud? Aż trudno mi go sobie wyobrazić! Z drugiej jednak strony czemu nie uczynił go wobec wszystkich, a zwłaszcza wobec tych, którzy powątpiewają w Jego misję: uczonych w Piśmie, faryzeuszów? Przecież to oni mają najwięcej wątpliwości co do Jego osoby! Was już nie trzeba przekonywać. A innych – tak.*

Jan: Mówisz: cud? Zdziwisz się. Tak, z pewnością był to cud, najbardziej niezwykły jaki dane mi było zobaczyć. A stało się to na samym początku wieczerzy paschalnej...

Redaktor: *Zaczekaj, zaczekaj. Przecież Paschę będziemy spożywać dopiero jutro...*

Jan: Nie przerywaj mi. Chcesz usłyszeć, co się wydarzyło czy też nie? Zasiadliśmy wszyscy do wieczerzy. Nagle Jezus wstał i złożył szaty. Wziął prześcieradło, przepasał się nim. Potem nalał wody do miednicy. Zanim zorientowaliśmy się, co się dzieje, zaczął umywać nam nogi i ocierać je prześcieradłem, którym był przepasany. Byliśmy tak zaskoczeni, że nikt nie potrafił wydobyć z siebie słowa. Tylko Piotr zachował zimną krew i pełen przejęcia powiedział do Jezusa: „Panie, Ty chcesz mi umyć nogi?” Miał rację Piotr, kiedy tak emocjonalnie zareagował na to, co robił Jezus. Wszyscy wiedzieliśmy, że jest to czynność, którą wykonują niewolnicy. Kiedy Jezus mnie umywał nogi, byłem tak spięty, wręcz sparaliżowany, że nie wydobyłem z siebie tych słów, którymi przepelnione było moje serce:

„Co Ty robisz, Panie?” Jezus spokojnie odpowiedział Piotrowi: „Tego, co Ja czynię, ty teraz nie rozumiesz, ale później będziesz to wiedział”. Ale Piotr nie dawał za wygraną. Jeszcze raz, jeszcze odważniej powiedział: „Nie, nigdy mi nie będziesz nóg umywał!” Piotr znalazł w sobie siłę, aby się przeciwstawić Jezusowi. A my, dlaczego my na to pozwoliliśmy? Z braku refleksu? Nie wiem. Ale Jezus także był stanowczy. „Jeśli cię nie umyję, nie będziesz miał udziału ze Mną”. Piotr chyba zrozumiał, że sprawa jest bardzo ważna, że dzieje się coś, co dla Jezusa ma ogromne znaczenie. Stąd chyba ta diametralna przemiana. „Panie, nie tylko nogi moje, ale i ręce, i głowę”. A Jezus mu na to: „Wykapany potrzebuje tylko nogi sobie umyć, bo cały jest czysty. I wy jesteście czyści, ale nie wszyscy”. Trochę zaskoczyły mnie te słowa. Czyżby ktoś z apostołów trwał w grzechu? Lecz kto? Kiedy umył nam nogi, przywdział ponownie szaty i zajął miejsce przy stole. Z niecierpliwością czekaliśmy na Jego słowa. Wyjaśni nam, dlaczego tak postąpił? Nie musieliśmy czekać zbyt długo. Jezus zabrał głos: „Czy rozumiecie, co wam uczyniłem? Wy Mnie nazywacie Nauczycielem i Panem i dobrze mówicie, bo nim jestem. Jeżeli więc Ja, Pan i Nauczyciel, umyłem wam nogi, to i wyście powinni sobie nawzajem umywać nogi. Dałem wam bowiem przykład, abyście i wy tak czynili, jak Ja wam uczyniłem. Zaprawdę, zaprawdę, powiadam wam: Sługa nie jest większy od swego pana ani wysłannik od tego, który go posłał”. Potem zaczęła się wieczerza. I co ty na to?

Redaktor: *Czegoś chyba nie zrozumiałem. Skończyłeś opowiadać? Wybacz, ale gdzie był ten cud, o którym wspomniałeś na początku?*

Jan: Nie, ty nie tylko „czegoś” nie rozumiałeś, ty nic nie rozumiałeś! Po prostu największym cudem było samo zachowanie Jezusa! Powiedział nam więcej o sobie, o tym Kim jest, jaka jest Jego misja, niż by uczynił to za pomocą wielkich cudów i długich kazań.

Redaktor: *Chyba to dla mnie jest zbyt skomplikowane... On coś objawił? Tylko upokorzył się przed wami. Mówisz tajemniczo jak sam Jezus. Trudno się dziwić, w końcu jesteś Jego uczniem.*

Jan: Postaram ci się pewne rzeczy wyjaśnić. Najprościej jak potrafię. Ale nie gwarantuję, że to się uda. W końcu jest środek nocy.

Redaktor: *A ja nie obiecuję ci, że zrozumiem, ale mimo to zamieniam się w słuch.*

Jan: Zacznijmy od tego, Kim dla nas jest Bóg. Dla mnie, dla ciebie. Z pewnością Kimś wielkim, wspaniałym, doskonałym, Tym, który zdziałał przedziwne cuda w historii naszego narodu, Święty wzywający nas nieustannie do nawrócenia. Ale jakże często jest On dla nas Kimś odległym, Kimś od Kogo dzieli nas nieskończony dystans. On nieskończony, my mali i grzeszni. On po trzykroć święty, Najświętszy, my po wielokroć upadający. Ponadto jest Tym, Komu winniśmy zawsze służyć, oddawać cześć, wznosić modły. I Bóg jest taki. Jezus odstąpił przed nami nowe, niezwykle oblicze Bożej miłości. Jako Syn Boga ukazał nam tajemnicę Boga w innym świetle. On, Bóg, Pan, Mesjasz umywa nogi swoim uczniom. I ponadto Jego słowa: „Nie rozumiecie tego, co wam uczyniłem”. Fakt, nie zrozumieli-

śmy od razu. A On chciał nam pokazać, Kim jest Bóg. Bóg w Jezusie przyszedł, aby nam służyć. Przeprowadzić do siebie. Ciągłe słyszeliśmy, że Bogu należy się cześć, całkowite oddanie, służba. To prawda i nic się nie zmieniło. Ale Bóg nie czeka na nas – może to zabrzmieć zbyt po ludzku – z założonymi rękami. On wychodzi do nas, zniża się do nas. To On pierwszy nam służy. Umywa nam nogi, oczyszcza nas, daje nam życie, nadzieję. Wiem, co cię oburzyło najbardziej w mojej relacji z wieczerzy, dla mnie też to był dosłownie szok – Jezus wykonał czynność niewolnika. Przecież niewolnik to ten, który nie ma wyboru – on musi nam służyć, do tego jest zobowiązany. Potrzebny jest nam do zaspakajania naszych elementarnych potrzeb. Ma nam coś przynieść, pomóc, posprzątać, jest na każde nasze zawołanie. Dlaczego więc Bóg wykonał czynność niewolnika? Niepojęte, prawda? A może Jezus chciał nam ukazać, iż Bóg, który jest tak bardzo blisko nas, jest po to, aby nam służyć. On pragnie zaspokoić nasze najbardziej podstawowe potrzeby, podstawowe, a jednocześnie najważniejsze. Nie, wcale nie te materialne, ale te jeszcze ważniejsze. Chociażby potrzebę miłości, akceptacji, przebaczenia, odpuszczenia grzechów, wiania nadziei w nasze serca. Znasz coś bardziej ważnego i potrzebnego dla naszego życia niż to, co przed chwilą wymieniałem? Bo ja nie. Ile ludzi dziś już nie wierzy, nie tyle w Boga, ale np. w miłość, nie mają żadnej nadziei, nie są zdolni przebaczyć ani prosić o przebaczenie. Bóg chce nam służyć. Zniża się do nas i widząc naszą małość i słabość, przebacza nam grzechy, pochyla się nad nami i odkrywa przed naszymi oczami, że w głębi nas samych jest dobro, pomimo naszej niewiary w nie jesteśmy do niego zdolni. Wlewa nadzieję.

Tak, to Bóg najpierw nam służy. Dopiero potem my – Jemu.

Redaktor: *Dobrze, to brzmi dosyć sensownie, ale nadal nie rozumiem, dlaczego czynność niewolnika? Czy nie było innego sposobu, prostszego, mniej szokującego? W końcu Bóg to Bóg – Święty Świętych!*

Jan: Nie wiem. Ale... niewolnik to ten, któremu została odebrana wolność. Nie może już czynić tego, co mu się podoba, jest zobowiązany, wręcz zmuszony do wykonywania takich a nie innych czynności. A czy kochając przypadkiem też nie decydujemy się – oczywiście w sposób wolny – na swoiste ograniczenie swojego życia? Podporządkowanie go całkowicie dobru innej osoby czy osób? Ja już nie mogę, więcej – ja już nie chcę żyć inaczej. Miłość jest formą „samozniewolenia” się dobrem ukochanej osoby. Z pewnością taka forma miłosnego „niewolnictwa” nie jest niczym bolesnym, nawet jeśli kosztuje, domaga się wyrzeczeń, poświęceń. Czy matka, która poświęca swój czas, swoje życie dla dobra dziecka, której egzystencja została całkowicie ukierunkowana, podporządkowana dobru dzieci uważa, że czyni coś nadzwyczajnego albo że ta forma „zniewolenia” dobrem jest jakimś wielkim ciężarem? Nawet jeśli jest czasami bardzo ciężko, to jednak widzi w tym sens i cel. Tak trzeba i koniec, bo kocha i dzięki temu jest uzależniona od dobra swego dziecka. A czy kochający przyjaciel uważa, że czyni coś niezwykłego, kiedy swój czas oddaje bliskiej osobie? Nie, jest to normalne i naturalne. W przypadku miłości nie ma wyboru – czy walczyć o dobro drugiej osoby, czy poświęcić coś dla niej. Nie, w tym wypadku jesteśmy tak

„zniewoleni” dobrem, że nie musimy stawiać sobie pytania „czy”. Czasami wymaga zastanowienia „jak” pomóc, jak właściwie zadbać o ukochane dobro. W tym jednak tkwi piękno prawdziwej miłości. W sposób wolny zniewalam się dobrem. A Bóg? Jezus wyznał, że Bóg jest miłością. I to tłumaczy wszystko – nawet „niewolnicze” umycie nóg swoim uczniom.

Redaktor: *Wybacz, że nadal będę sceptyczny co do tego, o czym teraz mówisz. Jakoś nie mieści mi się w głowie, żeby Bóg stał się człowiekiem podobnym do nas we wszystkim, może z wyjątkiem grzeszności, tylko po to, aby objawić nam, jak bardzo nas kocha. Nie ma innych sposobów ukazania miłości? Jeszcze brakuje tylko, żeby ten Bóg w Jezusie z miłości do nas dał się powiesić na krzyżu. Słyszałem, że Jezus twierdził, słusznie zresztą, że nie ma większej miłości niż oddać życie za kogoś innego. Gdyby twoja teoria o służebnej miłości Boga do człowieka była prawdziwa, to nie zdziwiłbym się, gdyby Jezus chciał oddać za nas życie. Bóg, który umiera za człowieka! Tego to już nie byłbym w stanie w ogóle pojąć. Ale zostawmy na boku takie nierzeczywiste teorie.*

Jan: Trudno, widzę, że moje tłumaczenie nie do końca cię przekonało.

Redaktor: *Ono jest sensowne, nie przeczę, powiem więcej – wydaje się nawet piękne. Chyba jednak potrzebuję czasu, aby do mnie dotarło. Ale mam jeszcze jedno pytanie. Wspomniałeś, że Jezus wyjaśnił wam sens swoich czynności. Czy mówił o czymś jeszcze?*

Jan: Wskazał na konieczność przyjęcia przez nas samych takiej postawy. Jeśli On – Bóg umył nam nogi jako znak

objawiający Jego niezwykłą miłość, nie pozostaje nam nic innego jak czynić podobnie. Służyć, służyć i jeszcze raz służyć. „Jeżeli więc Ja, Pan i Nauczyciel – to są słowa samego Jezusa – umyłem wam nogi, to i wyście powinni sobie nawzajem umywać nogi. Dałem wam bowiem przykład, abyście i wy tak czynili, jak Ja wam uczyniłem”. Ale to nie będzie wcale takie proste!

Redaktor: *Dlaczego?*

Jan: W każdym z nas drzemie pokusa władzy, panowania nad innymi. Pieniądz i władza to chyba dwa najbardziej niszczące pragnienia człowieka, które nieustannie nam zagrażają.

Redaktor: *Ale przecież to nie dotyczy was, Jego uczniów!*

Jan: Dziękuję, że masz o nas aż tak dobre zdanie. Ale ta pokusa władzy i panowania nie omija nikogo. Powiem ci więcej, nawet Jezus – opowiadał nam o tym – był kuszony przez szatana na pustyni. Pokusa była prosta: upadnij przede mną na kolana, mówił szatan, oddaj mi pokłon, a ja dam ci w posiadanie wszystkie ziemie, ludzi. Dam ci nieograniczoną władzę. Nie muszę ci chyba opowiadać, jak Jezus potraktował ową „kuszającą propozycję”. Nam z tą pokusa poszło trochę gorzej. Któregoś dnia posprzeczaliśmy się między sobą, kto z nas jest najważniejszy, innym razem matka dwóch naszych braci poprosiła, aby jeden z jej synów siedział w Królestwie Niebieskim po prawej stronie Jezusa, a drugi po lewej. Ale w nas wtedy zawrzało. Każdy z nas marzył o takim miejscu. To wszystko świadczy o tym, że pokusa, o której mówimy, wcale nie jest nam

obca, drzemie prawie w każdym człowieku. Z drugiej jednak strony, nie ma chyba człowieka, który nie miałby jakiegoś „skrawka władzy” nad innymi, w rodzinie czy wobec podwładnych. Raz jest ona większa, raz mniejsza. Jesteśmy zależni od jednych, podlegamy władzy, ale zawsze w naszym otoczeniu będą ludzie, którzy z kolei są od nas zależni, nam podlegają. Czasami jest to jeden człowiek, czasami są ich dziesiątki. Jak tę władzę sprawujemy? Rachunek sumienia przydałby się z pewnością każdemu. Ile razy dajemy ją odczuć: zobaczcie, jaki ja jestem ważny! Tutaj ja decyduję, ja rządę. Nie macie nic do powiedzenia. Albo bardzo niewiele. Sami nieraz bardzo boleśnie odczuwamy władzę innych, ale jak tylko mamy okazję, aby samemu ją zademonstrować, to czynimy to z największą przyjemnością. Jezus proponuje zastąpić władzę służbą.

Redaktor: *Mówisz – „służyć”? Przecież ci, którzy mają władzę, ile razy nam powtarzają, że oni nic innego nie robią, tylko nam służą. Poświęcają się dla nas. Za takie pieniądze i ja bym się poświęcał. Niech tylko nie mówią, że służą! Chyba że własnemu egoizmowi!*

Jan: Nie jest łatwo służyć. Zgoda. Ale nie oznacza to, że jest to niemożliwe. Trudne, ale możliwe. Nie patrz na „wielki świat”, politykę. Zastanów się raczej, co znaczy „służyć” w twoim codziennym życiu. Posiadam jakąś władzę: jako rodzic, jako wykonujący konkretny zawód, nawet wobec swoich rówieśników. Jacyś ludzie zostali nam powierzeni. Miejmy ich na uwadze. Przede wszystkim służba – i tego chyba obawiamy się najbardziej – nie polega wcale na tym, że mam spełniać każde ich zachcianki, być na każde zawołanie, całkowicie

do ich dyspozycji. Nie na tym polega dojrzałe posługiwanie innym. Rzeczą najważniejszą jest przede wszystkim odkrycie, czego ta druga osoba najbardziej potrzebuje, jakie dobro jest dla niej teraz konieczne, dla jej pełnego rozwoju, aby stała się lepsza, dojrzała, doskonalsza. Niejednokrotnie stajemy tutaj przed poważnymi dylematami. Np. czy mam spełniać każdą zachciankę mojego dziecka? Po co je stresować? Czy jest to właściwa decyzja? Służba oznacza, że muszę bardzo dobrze się zastanowić, co teraz jest konieczne, najważniejsze dla dobra powierzonej mi osoby. I to sprawia najwięcej problemów. Władza jako służba ściśle wiąże się z posłuszeństwem. Ale chodzi tu o posłuszeństwo mojemu sumieniu, które zabiega o dobro drugiej osoby. W tym wypadku służenie drugiemu czasami będzie polegało na odmowie, na niespełnieniu czegoś – właśnie ze względu na dobro tego człowieka. Wydaje mi się, że aby dobrze służyć innym, trzeba opanować jeszcze jedną bardzo istotną sztukę, niestety coraz rzadszą w naszych czasach. A jest nią umiejętność słuchania. Słuchanie samo w sobie ma przedziwną moc. To prawda, że czasami łatwiej nam przychodzi mówić niż słuchać. Cenimy osoby, które są gotowe i potrafią nas wysłuchać – w każdej sytuacji, o każdej porze, rzucając wszystko, aby posłuchać z uwagą i skupieniem tego, co chcemy powiedzieć. Wysłuchać oznacza oczywiście nie tylko przyjąć do wiadomości, ale odkryć, jak ważne jest dla rozmówcy to wszystko, o czym opowiada. Trzeba nauczyć się „czytać w uczuciach”, jakie temu towarzyszą, dostrzec je i w pełni zaakceptować. Istotne jest także, aby pokazać sobą (zachowaniem, gestem, spojrzeniem, dobrym słowem), że rozumiemy, co rzeczywiście znaczą wypowiedziane słowa, jaki jest ich

sens. Od tego zaczyna się służba, czyli zatroskanie o prawdziwe dobro powierzonej mi osoby. Zaniemówiłeś? Co ci się stało?

Redaktor: *Po prostu zdumiewa mnie, ile treści wyczytujesz z jednego gestu Jezusa – z Jego obmycia wam nóg.*

Jan: Taki właśnie jest Jezus. I tylko Bóg potrafi tak objawiać swoją miłość i moc w najprostszyczech rzeczach. Robi się już naprawdę późno. Wybacz, ale muszę już iść i poszukać Jezusa i braci na Górze Oliwnej. Mam nadzieję, że w najbliższym dniach dokończymy jeszcze naszą rozmowę.

Judasz



Oto nadszedł Judasz, jeden z Dwunastu, a z nim wielka zgraja z mieczami i kijami, od arcykapłanów i starszych ludu. Zdrajca zaś dał im taki znak: Ten, którego pocałuję, to On; Jego pochwyćcie! Zaraz też przystąpił do Jezusa, mówiąc: Witaj Rabbi!, i pocałował Go. A Jezus rzekł do niego: Przyjacielu, po coś przyszedł? Wtedy podeszli, rzucili się na Jezusa i pochwycili Go.

Mt 26, 47-50

Redaktor: *Przyjacielu...*

Judasz: Tylko nie mów do mnie „Przyjacielu”! Proszę. Właśnie przed chwilą powiedział tak do mnie Jezus i nic mnie tak mocno nie zabołało, jak właśnie to jedno słowo: „Przyjacielu”, a potem jeszcze dodał: „Po co przyszedłeś?” Tylko tyle powiedział i w tym momencie chciałem zapaść się pod ziemię, nie istnieć. Ale było już za późno. Stało się.

Redaktor: *Co ty opowiadasz, nigdy nie jest za późno.*

Judasz: Tak ci się tylko wydaje, bo nie zrobiłeś tego jednego, jedyne kroku, którego już nie da się odwrócić. Jest już za późno. Na wszystko. Pewnych rzeczy nie da się już cofnąć. One zaczynają istnieć niezależnie od ciebie. Poza tobą. Pozostaje tylko patrzeć, jak wszystko się wali. I jak ty sam za chwilę zginiesz pod tymi gruzami. Żadnej nadziei, żadnego ratunku. Lepiej już nie istnieć. Bo po co?

Redaktor: *Niepotrzebnie dramatyzujesz.*

Judasz: Ja dramatyzuję?! Człowieku, ty nie wiesz, co ja przed chwilą zrobiłem. Wydałem mojego Mistrza. Sprzedałem za nędzne pieniądze. Zobacz, ile to jest? Policz! Dokładnie. Ile – trzydzieści? Zgadza się? Właśnie tyle jest warte życie człowieka. Na tyle wyceniono życie Jezusa. I co, nic nie mówisz? Straciłeś mowę? Nie patrz tak na mnie. Tak, zrobiłem to, wydałem Go; nie, ja Go nie wydałem, ja Go... sprzedałem – jak niewolnika, jak jakiś bezużyteczny przedmiot.

Redaktor: *Powoli, uspokój się! Ale schowaj już te srebrniki, nie chcę na nie patrzeć. Dziwnie na mnie działają...*

Judasz: One mnie parzą. Idę właśnie oddać je tym, którzy mi je dali. Nie będą mi już potrzebne...

Redaktor: *Co chcesz przez to powiedzieć.*

Judasz: Nic.

Redaktor: *Ale co się między wami wydarzyło? Między tobą a Jezusem. Przecież jeszcze nie tak dawno byłeś jednym z Jego uczniów, należałeś do grona tych dwunastu wybranych.*

Judasz: To już przeszłość. Wszystko się skończyło.

Redaktor: *A może ty od samego początku byłeś w otoczeniu Jezusa tylko po to, aby śledzić każdy Jego krok i informować swoich zleceniodawców...*

Judasz: Co to, to nie. Nawet przez moment nie byłem szpiegiem faryzeuszy i arcykapłanów. Zdradziłem Jezusa, tego się nie wypieram, ale ze szpiegostwem nie mam nic wspólnego. Więcej, przed trzema laty przyłączyłem się do Jezusa, ponieważ On mnie... zafascynował. Widziałem w Nim reformatora, nauczyciela, cudotwórcę. Imponował mi. Początkowo – wszystkim. Tym co mówił, co robił. Zacząłem pokładać w Nim wielkie nadzieje.

Redaktor: *Jakie?*

Judasz: Najróżniejsze. Przede wszystkim polityczne. Dawno nie pojawił się w naszym narodzie ktoś, kto był w stanie zjednoczyć wokół siebie większą grupę ludzi. Tłumy Go słuchały, fascynowały się Nim. Miał wielki wpływ na nie. Niejeden byłby w stanie zrobić wszystko dla Jezusa, gdyby tylko coś nakazał. Taka postawa ludu to skarb, gdy dąży się do jakiegoś przewrotu. Podziwiałem także spryt Jezusa. W swoim przepowiadaniu rzadko dotykał problematyki politycznej, tak jakby ta sfera całkowicie Go nie interesowała i może przez to

właśnie zyskiwał coraz większe poparcie i uznanie. Pojawiały się głosy, mocno popierane przez Piotra – to jeden z naszego grona – iż Jezus jest właśnie oczekiwanym Mesjaszem. „Nareszcie” – powtarzałem sobie w duchu przez długie miesiące. Przyszedł ten, który dokona ostatecznego zwycięstwa nad wszystkimi naszymi wrogami. Rzymianie zostaną pokonani. Nasz naród ponownie stanie się wielki. Będzie budził postrach i szacunek. Może nawet Jezus poprowadzi nasze zwycięskie wojska na podbój Rzymu? Kto wie? Liczyłem na to!

Redaktor: *Ale twoje osobiste nadzieje nie miały nic wspólnego z przestaniem Jezusa! Miałem okazję niejednokrotnie Go słuchać, całe Jego przesłanie miało charakter tylko i wyłącznie religijny. Wzywał do głębokiej wiary, odsłaniał tajemnice Swojego Ojca, uczył jak żyć. Gdy tylko zdobywał zbyt wielką popularność, usuwał się w cień. Tak nie postępuje żaden reformator polityczny, bo im zależy na rozgłosie, a Jezus tego unikał. Mam wrażenie, że właśnie z tych powodów nie używał określenia „Mesjasz”, bo większości ludzi, chociażby tobie, Mesjasz kojarzył się z kimś, kto przyniesie nam wolność polityczną. Jezus chciał nas uczynić wolnymi, ale od grzechu.*

Judasz: I dlatego tak mocno mnie rozczarował. Cóż można zrobić tylko i wyłącznie za pomocą pobożności? Nic. Czego ona uczy? Masz być pokorny, cierpliwy, znosić wszystkie niepowodzenia, nie narzekać na żadne cierpienie i trudności. Bo przecież kiedyś będzie lepiej, tam w niebie. Teraz musisz cierpieć, bo może zgrzeszyłeś, a Pan Bóg chce twego nawrócenia. On poprawi kiedyś

twój los, ale dopiero po twojej śmierci. Oczywiście pod warunkiem, że w ciągu życia wypełnisz wszystkie Jego polecenia i będziesz pokornie znosił wszystkie cierpienia i niesprawiedliwości. Bo jeśli nie... A ja chcę, żeby już tutaj było lepiej. Nie mam najmniejszego zamiaru czekać do śmierci na polepszenie mojego losu. Mam wrażenie, że właśnie religia hamuje wszystkie ziemskie przemiany, przyczynia się do tego, że wielu ludzi nie ma najmniejszego zamiaru angażować się w walkę o sprawiedliwość, wolność, równość. Bo po co? Z jakiej racji mam się tutaj narażać, skoro religia bezustannie powtarza mi, że najważniejsza jest tylko ta jedna zmiana – pośmiertna.

Redaktor: *Mylisz się...*

Judasz: Chciałbym się mylić. Jezus w swoim przepowiadaniu zaproponował dokładnie taką wizję, jaką ci przed chwilą przedstawiłem. „Szczęśliwi ubodzy w duchu, albowiem do nich należy królestwo niebieskie. Szczęśliwi, którzy się smucą, albowiem oni będą pocieszeni. Szczęśliwi cisi, albowiem oni na własność posiadą ziemię. Szczęśliwi, którzy cierpią prześladowanie dla sprawiedliwości, albowiem do nich należy królestwo niebieskie”. To Jego słowa! Mamy płakać, cierpieć, żyć w ubóstwie, dawać się poniżać przez innych i żyć nadzieją, że za naszą bierność otrzymamy kiedyś nadzwyczajną nagrodę.

Redaktor: *Nie pozwalasz mi nawet dojść do słowa...*

Judasz: Tylko nie usiłuj bronić Jezusa! Nie miałeś okazji być blisko Niego tak jak ja...

Redaktor: *To jeszcze o niczym nie świadczy. Można latami być blisko kogoś i być ślepy na najważniejsze rzeczy. Sama fizyczna obecność czasami nie wystarcza. Potrzebna jest dobra wola i odczytywanie tego, co nie zawsze jest wypowiedane bezpośrednio. Mimo twego krytycyzmu spróbuję jednak bronić Jezusa.*

Judasz: Twoja sprawa.

Redaktor: *Według ciebie Jezus, zresztą jak cała religia, wzywa tylko do bierności i oczekiwania z założonymi rękami końca świata. Pomyłka. Bo jest dokładnie odwrotnie. Nie znam nic bardziej przemieniającego niż wiara. Tylko że ta przemiana zaczyna się nie od reform politycznych, ale ode mnie samego. Masz jakiś konkretny pomysł na zmianę tego, może skądinąd nie idealnego, świata?*

Judasz: Mam. Rewolucje, przewroty, reformy...

Redaktor: *Nie wiem, jaka jest twoja znajomość historii, ale przypomnij sobie wielkich reformatorów tego świata. Co po nich pozostało? Głosili wielkie i chwytliwe hasła: wolność, równość, sprawiedliwość, braterstwo. Porwali za sobą wielu i co... Kończyło się to najczęściej wymordowaniem przeciwników i zdobyciem wielkiej fortuny. Jezus dobrze to wiedział i zaproponował coś zupełnie nowego.*

Judasz: Oświeć mnie w tym względzie, bo po trzech latach słuchania Jezusa każdego dnia widać nie potrafiłem tego zauważyć.

Redaktor: *Może nie chciałeś tego zauważyć? To nie świat ma się zmienić. Ile razy narzekamy na ten świat: ile*

w nim niesprawiedliwości, zła, podłości. A przecież to my go takim uczyniliśmy. To co powiem, może zabrzmi bardzo nierealnie, ale ten świat zmieni się pod warunkiem, że zaczniemy od siebie.

Judasz: *Zaczynasz mi się podobać. Ja zawsze zaczynam od siebie. Idąc za Jezusem także myślałem o sobie. Co ja z tego będę miał, ile na Nim zarobię, jakie funkcje powierzy mi po zwycięstwie nad Rzymianami? Zaczynam od siebie...*

Redaktor: *I na sobie kończysz! A ja mam na myśli nie egoizm, tylko przemianę swego wnętrza. Jezus jest największym reformatorem, jakiego znam. Ale reformatorem ludzkiego wnętrza! Co więcej, tylko tacy, powiedzmy nowi ludzie, będą w stanie cokolwiek zmienić w tym świecie.*

Judasza: *Wyznawcy Jezusa coś zmieniają w tym świecie!? Rozśmieszasz mnie tylko! Pokorni, cisi, nadstawiający drugi policzek, pobłażający w imię miłosierdzia każdemu przestępcy. Oni mają reformować świat!? Chciałbym to zobaczyć.*

Redaktor: *I zobaczysz. Bo Jezus chce w nas ukształtować zupełnie nowego człowieka...*

Judasz: *Ofiarę losu, nieudacznika...*

Redaktor: *Nie, nie i jeszcze raz nie! Zaczynaj w końcu słuchać. Dla mnie osobiście najważniejszymi cechami nowego człowieka są poszukiwanie i wierność prawdzie oraz zdolność do budowania relacji. Właśnie te dwie*

cechy, jeśli je w sobie ukształtujemy, są w stanie zrewolucjonizować i przemienić świat.

Judasz: Możesz wyjaśnić mi je bliżej? Bo trudno mi je odnaleźć w nauczaniu mojego byłego Mistrza.

Redaktor: *„Poznacie prawdę, a prawda was wyzwoli”. Jeżeli staniemy się poszukiwaczami prawdy, bo jej trzeba zawsze szukać, wiele w nas się zmieni. Prawdy o Bogu, o Jego istnieniu, o Jego miłości do nas, prawdy o nas samych, o naszej zdolności do bycia dobrymi, o naszej skłonności do grzechu, a jednocześnie prawdy o sile dobra pochodzącej od Boga zdolnej wyzwolić nas z niewoli zła. Dla Jezusa prawda to nie tylko intelektualne przekonania, opinie, lecz również rzeczywistość samego Boga, którego nieustannie mamy szukać. A przy tym tylko wierność odkrytej prawdzie gwarantuje nam autentyczną wolność. Świat jak nigdy potrzebuje dzisiaj ludzi wolnych, a nie wiem, czy jest ich dużo.*

Judasz: Ludzie wolni? Z jednej strony myślałem, że dzięki Jezusowi odzyskamy wolność, że to On wyzwoli nas spod panowania Rzymian. A z drugiej strony dlaczego powątpiewasz, że nie ma ludzi wolnych? Są! Jestem wolny, bo robię to, co mi się podoba. Na co mam właśnie ochotę. Decyduję o sobie na każdym kroku. Chociażby przed chwilą wydałem Jezusa w ręce arcykapłanów. Dlaczego? Bo jestem wolny! I mogę robić, co mi się żywnie podoba!

Redaktor: *I jesteś najbardziej zniewolonym człowiekiem. Wolność istnieje tylko wtedy, kiedy służy prawdzie i dobru, inaczej jest niewolą. Ale nie wiem, czy jest sens z tobą dalej o tym rozmawiać...*

Judasz: Rzeczywiście, daj spokój, bo niewiele rozumiem z tego, co do mnie mówisz. Ale wspomniałeś przed chwilą, że istnieje jeszcze druga cecha owego „nowego człowieka”: zdolność do relacji... Ona mnie bardziej interesuje.

Redaktor: *Z racji?*

Judasz: Osobistych. Jezus w momencie zdrady nazwał mnie przyjacielem. Składałem na jego policzku zdradziecki pocałunek, a On zwrócił się do mnie jak do przyjaciela. Nie potrafię tego zrozumieć. Nie wiem, czy pamiętasz, ale właśnie od tego zaczęła się nasza rozmowa.

Redaktor: *Pamiętam. Postawa Jezusa wcale mnie nie dziwi...*

Judasz: Nie dziwi cię?! Zdradzam człowieka, sprzedaję Go jak towar za nędzne trzydzieści srebrników, a On okazuje mi szacunek, miłość, przyjaźń i to ma nie dziwić? To nie jest zwyczajne!

Redaktor: *W normalnym świecie – nie, ale dla Jezusa i Jego naśladowców – tak. Jezus pragnie pokazać, że naszym pierwszym powołaniem jako ludzi jest po prostu miłość, czyli budowanie takiej relacji, gdzie najważniejsze staje się zatroskanie o autentyczne dobro drugiej osoby. Jeśli nie odkryjemy tego powołania, jeśli nie zaryzykujemy takiego „życia w relacji”, to tracimy coś najbardziej istotnego i pięknego z naszego człowieczeństwa.*

Judasz: Nie przesadzaj! Są ludzie, którzy nie mają niko-
go, żadnych relacji, żadnych przyjaciół i...

Redaktor: *Są najsmutniejszymi ludźmi, jakich znam. Co to za życie! Lepiej chyba już nie żyć...*

Judasz: Właśnie mam zamiar to... Nie, nic.

Redaktor: *Zdziwiła cię postawa Jezusa? W przyjaźni nie jest to nic nadzwyczajnego. W tym tkwi jej piękno...*

Judasz: W zdradzie!?

Redaktor: *Nie, w walce do końca o przyjaciela, o jego dobro, o to, aby nawet jeśli zblądził, odnalazł w końcu właściwą drogę. Co zrobił Jezus? Nie przekreślił cię, nie okazał ci pogardy, nie padło z Jego ust żadne potępiające słowo. Powiedział do ciebie tylko: „Przyjacielu”. Według mnie nie była to żadna ironia.*

Judasz: Jeśli nie ironia, to co chciał przez to powiedzieć?

Redaktor: *To słowo było twoją szansą, może ostatnią. Ono mówiło: „Judaszu, ja nadal chcę być twoim przyjacielem, ciągle jesteś mi bliski, nadal widzę w tobie dobro, którego ty już nie widzisz. Poblądziłeś w sposób dla mnie niezrozumiały, zawiodłeś się na mnie, ale teraz sam do końca nie wiesz, co czynisz. Zdradzasz mnie, sprzedajesz, wydajesz na śmierć, ale moja miłość do ciebie się nie zmienia. Ona trwa. Nie potrafię cię przekreślić i powiedzieć, że więź, jaka między nami istniała przez te kilka lat, nagle zniknęła. Jesteś mi ciągle bliski, choć pojawił się wielki ból, że nasza przyjaźń nie ochroniła cię przed tym nieszczęsnym krokiem”. Czasami przyjaźń jest ostatnią deską ratunku dla niejednego człowieka. Pamiętaj: „Kto przyjaciela znalazł ten skarb znalazł”.*

Judasz: Też mi skarb! I cóż mi po nim! Ile mnie kosztowała ta przyjaźń z Jezusem! Trzy lata wyrzeczeń, trudów, poświęceń. Z ilu rzeczy musiałem zrezygnować w imię tej, jak nazywasz, pięknej przyjaźni! A co otrzymałem w zamian? Nic. Zawiódł moje wszystkie nadzieje i oczekiwania. Wolę moje trzydzieści srebrników. A ile musiałem jeszcze się nasłuchać z Jego strony na mój temat...

Redaktor: *I dziękuj Bogu za to. Tylko przyjaciel odstłoni ci pewne prawdy o tobie. Nawet te bolesne, przed którymi chcesz za wszelką cenę uciec. I będziesz je w stanie przyjąć, przemyśleć, zastanowić się nad nimi, nie przejdiesz nad nimi obojętnie. Dlaczego? Bo powiedział ci to twój przyjaciel, a nie jakiś przypadkowy człowiek, mniej lub bardziej tobie życzliwy. Zaufaj przyjacielowi, cokolwiek do ciebie mówi, bo jemu zależy tylko na jednym – na tobie i dlatego ci to powiedział. Mam wrażenie, że gdybyś sam miał odwagę mówienia Jezusowi o tym, co cię boli, co przeżywasz, jakie masz do Niego pretensje, a nie dusił tego w sobie, to może nie doszłoby to tego, co się stało.*

Judasz: Może. Ale teraz i tak jest za późno. Już po wszystkim. Żegnaj.

Redaktor: *Poczekaj. Co chcesz teraz zrobić?*

Piłat



Piłat wyszedł do nich na zewnątrz i rzekł: Jaką skargę wnosicie przeciwko temu człowiekowi? W odpowiedzi rzekli do niego: Gdyby to nie był złoczyńca, nie wydalibyśmy Go tobie. Piłat więc rzekł do nich: Weźcie Go wy i osądźcie według swojego prawa! Odpowiedzieli mu Żydzi: Nam nie wolno nikogo zabić. Tak miało się spełnić słowo Jezusa, w którym zapowiedział, jaką śmiercią miał umrzeć. Wtedy powtórnie wszedł Piłat do pretorium, a przywoławszy Jezusa rzekł do Niego: Czy Ty jesteś Królem Żydowskim? Jezus odpowiedział: Czy to mówisz od siebie, czy też inni powiedzieli ci o Mnie? Piłat odparł: Czy ja jestem Żydem? Naród Twój i arcykapłani wydali mi Ciebie. Coś uczynił? Odpowiedział Jezus: Królestwo moje nie jest z tego świata. Gdyby królestwo moje było z tego świata, słudzy moi biliby się, abym nie został wydany Żydom. Teraz zaś królestwo moje nie jest stąd. Piłat zatem powiedział do Niego: A więc jesteś królem? /Odpowiedział Jezus:/ Tak, jestem królem. Ja się na to narodziłem i na to przyszedłem na świat, aby dać świadectwo prawdzie. Każdy, kto jest

z prawdy, słucha mojego głosu. Rzekł do Niego Piłat: Cóż to jest prawda? To powiedziawszy wyszedł powtórnie do Żydów i rzekł do nich: Ja nie znajduję w Nim żadnej winy. Jest zaś u was zwyczaj, że na Paschę uwalniam wam jednego /więźnia/. Czy zatem chcecie, abym wam uwolnił Króla Żydowskiego? Oni zaś powtórnie zawołali: Nie tego, lecz Barabasza! A Barabasz był zbrodniarzem.

J 18, 29-40

Redaktor: *Poncjuszu Pilacie, pragnę wyrazić ci wdzięczność, że pośród tylu ważnych obowiązków zechciałeś znaleźć czas dla....*

Piłat: *Przyszedłeś tutaj wygłaszać mowy pochwalne na moją część czy porozmawiać ze mną? „Kadzenia” mam dosyć. Ono mi towarzyszy wszędzie. W każdym miejscu i na każdym kroku. Tu nie ma ludzi mówiących prawdę. Wokół mnie jest tylko jedna kategoria ludzi: lizusów i tchórzy. Każdy robi wszystko, aby tylko mi nie podpaść. Czy można być bardziej samotnym, niż przebywając nieustannie wśród ludzi, którzy nie mają dość odwagi, aby być sobą. Lęk, strach, służalczość mają wypisane na twarzach. Wybacz moje ostre słowa, ale liczyłem, że należysz do innej kategorii ludzi. Takich jak Jezus. On miał odwagę myśleć inaczej niż ja, polemizować ze mną, nawet wtedy, gdy wiedział, że Jego życie zależało tylko i wyłącznie od mojej arbitralnej decyzji. Podziwiałem Go. Nie ugiął się, w Jego oczach nie dostrzegłem żadnego strachu. Zachował swoją godność do końca. Nawet w obliczu śmierci.*

Redaktor: *Właśnie o Nim chciałbym z tobą porozmawiać.*

Piłat: Za późno, wyrok został wykonany. Od trzech dni spoczywa już w grobie.

Redaktor: *Ale są tacy, którzy twierdzą, że dzisiaj zmartwychwstał.*

Piłat: Wierzysz w bajki?! A podobno jesteś wykształcony. Moi żołnierze dokładnie pilnowali grobu. Żydzi poinformowali mnie, iż Jezus odgrażał się za życia, że ma zamiar zmartwychwstać. I bardzo sprytnie mogliby to wykorzystać Jego uczniowie. Wykradliby ciało, a wszystkim powiedzieliby, że powstał z martwych i wstąpił do nieba. I kto to sprawdzi? Nikt. Nie udowodnisz w żaden sposób, że było inaczej. A ludzie potrzebują pięknych opowieści. Są na tyle naiwni, że uwierzą we wszystko. Nawet, że Jezus zmartwychwstał i wstąpił do nieba.

Redaktor: *Ale przecież wskrzesił Łazarza! Są świadkowie i to wielu. Wiarygodni. Czy ten, który przywrócił życie komuś innemu, sam by nie mógł...*

Piłat: Przestań wygadywać takie bzdury! Takie plotki zostaw przekupkom na mieście! Tak usilnie starałaś się o spotkanie ze mną i widzę, że robisz wszystko, aby ono się zaraz skończyło.

Redaktor: *Jak pochlebiam – źle, jak mówię to, co myślę – niedobrze. Bądź tu człowieku mądry w rozmowie z wielkimi tego świata! Przejdę więc do głównej przyczyny mojej wizyty. Interesuje mnie twoja ostatnia rozmowa z Jezusem. Czy możesz coś z niej zdradzić? O czym rozmawialiście? Czego dotyczyła? Jezus się nie bronił, prawda?*

Piłat: Masz rację, było tak, jak sugerujesz, odniosłem wrażenie, że On chciał umrzeć. Nie uczynił nic, nawet najmniejszego kroku w stronę ratowania swojej skóry. Żadnego błagania o litość, o wstawiennictwo. Nic. Duma i niewzruszenie. Wiedział dobrze, jaki będzie Jego koniec. Ani słowem nie poprosił o ułaskawienie.

Redaktor: *Proponowałeś Mu je?*

Piłat: Nie bezpośrednio. Ale dałem Mu jasno do zrozumienia, w czyich rękach znajduje się Jego życie. Co więcej, to właśnie ja za wszelką cenę usiłowałem Go uwolnić. Nie widziałem w tym człowieku żadnej winy, która zasługiwałaby na karę śmierci. Wydawało mi się, że faryzeusze, uczeni w Piśmie, arcykapłani chcieli się pozbyć niewygodnego dla nich człowieka moimi rękami. Jeśli zakłócał porządk publiczny, należało Mu się kilka batów i sprawa byłaby załatwiona. Nie zapominaj, że Rzym, który tutaj reprezentuję, to państwo prawa i sprawiedliwości, my nie wykonujemy wyroków bez procesu. Tym się różnimy od narodów barbarzyńskich.

Redaktor: *Czegoś tutaj nie rozumiem. Twierdzisz, że nie widziałeś w Nim żadnej winy, która wymagałaby zastosowania najwyższego wymiaru kary, co więcej usiłowałeś Go za wszelką cenę uwolnić, ale to w końcu ty, Poncjusz Piłat, a nie kto inny, wydałeś na Niego wyrok śmierci!*

Piłat: Nie wiesz, jak było i się gorączkujesz. Nie wszystko jest takie proste, jak ci się wydaje. Za chwilę wszystko Ci wyjaśnię.

Redaktor: *Pewnie musiałeś. Nie miałeś innego wyjścia. Żydzi cię szantażowali? Ciekaw jestem, co wymyślili na wielkiego Poncujsza Piłata.*

Piłat: Koniecznie chcesz wiedzieć? Dobrze. Przeprowadzili Go do mnie, ponieważ to ja miałem wydać wyrok. Żydzi nie mają prawa nikogo skazać na śmierć. Oficjalnie, oczywiście! Bo niejednokrotnie uciekają się do samowolnego kamienowania. Zdziwiła mnie ich wizyta, zwłaszcza że było to przed samym świętem Paschy. Dlaczego nie poczekali? Dlaczego chcą się Go pozbyć moimi rękami? Czyżby bali się reakcji ludzi? Zawsze będą mogli powiedzieć: nie, to nie my zabiliśmy Jezusa, to Piłat skazał Go na śmierć. Jeszcze bardziej zdziwiłem się, gdy padło oskarżenie – On jest królem żydowskim. Własnego króla chcą się pozbyć? Z ciekawości zapytałem Jezusa, czy On rzeczywiście jest ich królem.

Redaktor: *Odpowiedział ci? Przyznał się, że jest królem?*

Piłat: Odpowiedział! Ale w taki sposób, że gdyby mnie jakoś nie fascynował, to natychmiast kazałbym Go ubiczować. Co za bezczelność! Prawie taka jak twoja. Miał czelność zadać mi pytanie. Zapomniał chyba, kto kogo tutaj przesłuchuje. „Czy to mówisz od siebie, czy też inni powiedzieli ci o Mnie?” Ale nie dałem się sprowokować. Spokojnie, z kamienną twarzą, pytam dalej: „Coś uczynił?” Usłyszałem na to: „Królestwo moje nie jest z tego świata. Gdyby królestwo moje było z tego świata, słudzy moi bili by się, abym nie został wydany Żydom. Teraz zaś królestwo moje nie jest stąd”. Przyznał się, pomyślałem. „A więc jesteś królem!” Jeszcze

raz potwierdził: „Tak, jestem królem. Ja się na to narodziłem i na to przyszedłem na świat, aby dać świadectwo prawdzie. Każdy, kto jest z prawdy, słucha mojego głosu”. Tutaj mnie kompletnie zaskoczył. Prawda? A cóż to takiego? Nie ma czegoś takiego jak prawda. Są opinie, zdania, układy, poglądy, ale coś takiego jak prawda nie istnieje. Myślałem, że Jezus jest na tyle wykształcony, że już doszedł to tego, że prawdy po prostu nie ma.

Redaktor: *Nie, tutaj się z tobą nie zgodzę. Człowiek nie może żyć bez prawdy. Każdy chce wiedzieć, chociażby ja teraz chcę dowiedzieć się, co wydarzyło się między tobą a Jezusem. Wypowiadasz zdania opisujące wydarzenia, które miały miejsce i jeśli twoje słowa są zgodne z tym, co rzeczywiście się stało – to jest to prawda. Prawda to nic innego jak zgodność między naszymi wypowiedziami a rzeczywistością. Przecież to, co mi teraz mówisz, uważasz za prawdę. Czasami się okłamujemy, ale każdy człowiek, bez wyjątku chce znać prawdę. Po to właśnie rozmawiamy między sobą, słuchamy relacji naocznych świadków, czytamy mądre księgi. Wszyscy tęsknimy za prawdą.*

Pilat: Z tym się zgadzam. Nie można funkcjonować w tym świecie bez czegoś takiego jak prawda, ale dodam od razu, że pojmuję ją inaczej. Wróćmy nawet do mojego opowiadania o procesie Jezusa. Zdaję ci relację z pewnych faktów. Ale pamiętaj, że jest to ciągle moja wersja wydarzeń, moje spojrzenie, moja interpretacja słów Jezusa. Nie wierzę, że istnieje prawda, nazwijmy ją, obiektywna czy niezmienna.

Redaktor: *Więc czym jest dla ciebie prawda?*

Piłat: Pozwól, że aby ci to wyjaśnić, posłużę się pewnymi faktami z procesu Jezusa. Dzięki temu dowiesz się jeszcze, co wydarzyło się dalej. Po tej krótkiej rozmowie z Jezusem nadal nie widziałem w Nim żadnej winy, nie zamierzałem więc skazać Go na śmierć. Bo za co? W tym celu postanowiłem wykorzystać pewien zwyczaj. Nie chciałem bowiem psuć swoich stosunków z arcykapłanami i faryzeuszami, zawsze mogą się przydać (choćby do utrzymywania porządku wśród Żydów). Pewnie wiesz, że na Paschę uwalniam jednego Żyda arestowanego przez moich ludzi. Nawet nie wiem, skąd wziął się ten zwyczaj. Osobiście go nie wprowadziłem, chyba mój poprzednik. Taki mały gest w stronę okupowanych. Miałem w więzieniu jednego zbrodniarza i awanturnika. Sami Żydzi się go bali. Nazywał się Barabasz. Postanowiłem dać im alternatywę: albo Jezus, albo Barabasz.

Redaktor: *Na co liczyłeś?*

Piłat: Oczywiście, że wybiorą Jezusa. Barabasz był niebezpiecznym bandytą. Zabójcą. Sami Żydzi cieszyli się, że w końcu udało nam się go zatrzymać. Każde zdrowe społeczeństwo chce wyeliminować niebezpieczne jednostki, które zagrażają spokojnym obywatelom. Pozbyć się właśnie takich ludzi, jak Barabasz. Gdybyśmy go ukrzyżowali, nikt by po nim nie płakał.

Redaktor: *Wybrali więc Barabasza?!*

Piłat: Nie inaczej. Irracjonalnie i głupio. Jestem przekonany, że arcykapłani i faryzeusze sprytnie manipulowali tłumem. Ale to już nie moja sprawa. Przy okazji

jednak masz moją pierwszą definicję prawdy. Prawda to nic innego jak... myślenie większości. Jest ona wynikiem plebiscytów, głosowań, referendów, badań opinii publicznej.

Redaktor: *Ale większość, nawet absolutna, może się mylić! Byłeś przecież świadkiem głosowania nad uwolnieniem Jezusa. To rzeczywiście była manipulacja i demagogia. Granie na emocjach. Gdzie tu mowa o jakiejś prawdzie!*

Pilat: Racja. I cóż z tego. To nie ma żadnego znaczenia. Myślenie większości wyznacza, co jest prawdziwe, a co nie, co winno być zaakceptowane, a co odrzucone, co należy przyjąć jako normę w danym społeczeństwie, a co nią nie jest. Dlatego właśnie prawda jest tak bardzo zmienna. Zmieniają się czasy, okoliczności, zwyczajaje, a my wraz z nimi. Nie ma prawdy niezmiennej.

Redaktor: *Mam nadzieję, że mimo wszystko nie jest tak, jak mówisz. Jestem głęboko przekonany, że się mylisz. Przypuśćmy, że za kilka lat odbędzie się głosowanie na temat: czy Jezus został skazany przez Poncjusza Piłata? I z niewiadomych przyczyn, irracjonalnych, koniunkturalnych, większość, w sposób całkowicie demokratyczny, stwierdzi, że nie jest to prawdą. Co wtedy? Coś, co jest sprzeczne z faktami, nagle stanie się prawdą? Przecież to absurd!*

Pilat: Gdyby tak się stało, trudno. Prawda to w końcu myślenie większości. Ale dodałbym w tym momencie jeszcze jedno kryterium prawdy, aby uniknąć takich sytuacji, o których przede chwilą wspomniałeś.

Redaktor: *Ciekaw jestem, jakie?*

Pilat: Oczywiście. Prawdziwe jest to, co jest oczywiste. Dlatego nie dyskutujemy o faktach widzianych, namacalnych, konkretnych. One są oczywiste, a więc prawdziwe. Chociażby jak to, że teraz ze sobą rozmawiamy.

Redaktor: *Ale są pewne rzeczy, które nie są oczywiste, a są prawdziwe!*

Pilat: Proszę bardzo, podaj mi jakiś przykład.

Redaktor: *Istnienie Boga!*

Pilat: Niezupełnie. Zauważ, że dla jednych jest to prawda, a dla innych nie. Dlaczego? Ponieważ istnienie Boga nie jest właśnie oczywiste. Czy ktoś widział Boga albo bogów? Istnieją tacy, którzy utrzymują, że są w bezpośrednim kontakcie z Bogiem lub bogami, np. prorocy, wróżbici, nawiedzeni. Ponownie część im wierzy, część nie. Oddajemy cześć bogom, składamy ofiary, ale według mnie to wszystko czynimy tak... na wszelki wypadek. Lepiej nie denerwować naszych bogów, chociaż nie mamy dowodu na to, że oni w ogóle istnieją. To jest kwestia przekonań, tradycji, przeczności, ale w żadnym wypadku oczywistości. Minimum przyzwyczajenia lepiej zachować. Dla bezpieczeństwa, bo może się okazać, że bogowie rzeczywiście istnieją. I co wtedy? Jednak wracając do naszej oczywistości. To, co oczywiste, winno być oczywiste dla wszystkich i być oczywiste poprzez zmyły. Świadcami procesu Jezusa były setki ludzi, widzieli Go na własne oczy i słyszeli

słowa, które zostały wypowiedziane. Kryterium prawdy spełnione. A bogowie lub Bóg? Najczęściej to jakieś pojedyncze jednostki utrzymują, że mają z nim kontakt. To nie jest oczywiste i dlatego nie można rozstrzygnąć, czy jest to prawda czy też nie.

Redaktor: *„Bóg istnieje”. „Bóg nie istnieje” – to według ciebie zdania, o których nie można orzec prawdy?*

Pilat: Właśnie. Są ludzie wierzący, lecz istnieją także ludzie niewierzący. Nie ma żadnego kryterium, które rozstrzygnęłoby definitywnie spór o istnienie Boga.

Redaktor: *Co nam więc pozostaje? Bezradność?*

Pilat: Niekoniecznie. Pozostaje jeszcze jedno kryterium prawdy. Jedno z najważniejszych w dzisiejszych czasach. Bardzo rozpowszechnione. Co więcej – to z pewnością cię bardzo zainteresuje, a nawet zaintryguje – to właśnie owo kryterium skłoniło mnie bezpośrednio do wydania wyroku skazującego Jezusa na śmierć. Kryterium, które ma niezwykłą siłę, a doświadczyłem jej boleśnie na własnym przykładzie. Nie miałem najmniejszego zamiaru wydać Jezusa na ukrzyżowanie, a jednak to zrobiłem. Pewnie zastanawiasz się, jak to możliwe? Dlaczego tak się stało?

Redaktor: *Ja już o nic nie pytam. Słucham.*

Pilat: Kiedy dowiedziałem się, że Jezus uważa się za Syna Bożego, zaniepokoiłem się.

Redaktor: *Powiedział ci to?*

Pilat: Tak, nie musiałem nawet naciskać. Ze swej strony nie wiem, co dla was znaczy, że ktoś jest Synem Bożym. Dlaczego to tak bardzo denerwowało waszych przywódców, nawet bardziej niż Jego pretendowanie do tronu? Jednak poczułem w sercu pewien lęk. A po głowie zaczęły przebiegać najróżniejsze myśli: „Podnieść rękę na kogoś, kto jest synem Bożym. Czy mnie coś za to nie spotka? A jeśli ten ich Bóg ukarze mnie? Co wtedy?” Rzeczywistość sacrum z jednej strony budzi w człowieku lęk, a z drugiej fascynuje. Jeżeli doświadczam czegoś, co mnie całkowicie przerasta, jest tajemnicze, nad czym nie mogę zapanować, to nic dziwnego, że budzi się bojaźń, a w pewnych momentach nawet strach. Rzeczy, które przynależą do boskiej rzeczywistości, budzą w nas respekt i szacunek. Z drugiej strony sacrum jawi się zawsze jako coś niezwykle pociągającego. Dlaczego? Ponieważ w nim odkrywamy świętość, czyli najwyższą wartość, możliwość osiągnięcia pełni życia, przejścia do innego, lepszego świata. Oto dlaczego nas pociąga i fascynuje. Czegoś takiego doświadczałem w rozmowie z Jezusem. Stał przede mną człowiek: pobity, wyszydzony, skazany na łaskę innych. Ale uczucia, które we mnie się pojawiły, to nie było ani współczucie, ani pogarda. Nie, miałem przed sobą kogoś, kto mnie fascynował, pociągał, intrygował, a jednocześnie budził respekt, a nawet lęk. Zwłaszcza gdy padły słowa o Jego boskim pochodzeniu. Kim był ten człowiek? Szaleńcem? Nawiedzonym? Prorokiem? Miał w sobie coś, co nie pozwalało przejść obojętnie. Dlatego tym bardziej, po tym wszystkim co teraz ci opisałem, postanowiłem Go uwolnić. Nie tylko wbrew i na złość Żydom. Ale przede wszystkim z pewnego lęku, a nawet strachu, jaki odczuwałem przed tym czło-

wiekiem. Przeczuwałem w Nim jakiś tajemniczy związek ze światem boskim.

Redaktor: *Nie wierzę własnym uszom! Tym bardziej nie rozumiem, dlaczego z twoich ust padł wyrok skazujący Jezusa na śmierć.*

Piłat: Mówiłem ci już – pojawiło się kolejne, niezwykle ważne kryterium prawdy.

Redaktor: *Jakie?!*

Piłat: Pragmatyka i interes, mój przyjacielu. Nic więcej. Kiedy zamierzałem uwolnić Jezusa, Żydzi sięgnęli właśnie po ten argument: „Jeśli uwolnisz Jezusa, będzie to znak, że nie jesteś przyjacielem Cezara”.

Redaktor: *Nie rozumiem.*

Piłat: Nie rozumiesz tak prostej rzeczy? Na jakim świecie ty żyjesz? Żydzi po prostu donieśliby na mnie do Cezara, że nie zareagowałem gdy, ktoś usiłował podważyć cesarskie rządy. Jezus był buntownikiem, pretendował do królestwa. Chciał wyzwolić naród żydowski spod naszej okupacji. A ja nie ukarałem ręki, która podniosła się przeciwko władzy cesarskiej. Wiadomo, jaka byłaby reakcja mojego cesarza, nie ma żadnych wątpliwości: pożegnałbym się nie tylko z moim stanowiskiem, ale pewnie i z życiem. Co za przebiegli Żydzi! Złapali mnie w potrzask. Musiałem skazać Jezusa tylko i wyłącznie dla ocalenia własnej skóry. Ale jest i drugi aspekt tej sytuacji, bardziej pozytywny. To nie ja jestem odpowiedzialny za Jego śmierć, lecz oni. Mogłem w całkowitym

spokoju sumienia umyć od tego wszystkiego ręce. Co zresztą, lubiąc teatralne gesty, uczyniłem na ich oczach. Nie będę winien śmierci tego człowieka.

Redaktor: *Twoim zdaniem, oczywiście.*

Piłat: Coś sugerujesz?

Redaktor: *Skądże, nic.*

Piłat: Bardzo dobrze. Bo prawda to nic innego jak korzyść. Użyteczność. Pragmatyka. Do tego sprowadzają się wszystkie prawdy. Najważniejszym kryterium prawdziwości jest skuteczność działania i wypływające z niego konkretne korzyści. Niewinność człowieka? Chociażby takiego jak Jezus? Zapomnij o czymś takim. Gdy w grę zaczynają wchodzić duże pieniądze i władza, uczciwość czy sprawiedliwość przestają być istotne. Liczy się tylko korzyść. Jeśli pragmatyka życia nakazuje skazać niewinnego człowieka, to należy tak postąpić.

Redaktor: *Ale w imię czego?*

Piłat: W imię czego!!... Bo większe będą korzyści z Jego śmierci, niż gdyby został ocalony. Ja na tym zyskam albo przynajmniej ocalę swoją skórę. A może też będzie z tego pożytek dla innych? A tak, na marginesie, czy to nie wasz arcykapłan powiedział o Jezusie, że lepiej, aby jeden człowiek umarł za naród, niż aby cały naród został wymordowany?

Redaktor: *Skąd o tym wiesz? Całe spotkanie było utrzymane w największej tajemnicy.*

Pilat: Nawet do największych tajemnic można mieć dostęp – za pieniądze albo poprzez ludzi podszytych strachem. Proza życia. Widzisz, jak bardzo względne jest pojęcie prawdy? A ty chciałbyś, aby prawda była stabilna, niezmienna niby posąg w moich ogrodach. Może jeszcze akceptowana przez wszystkich? Nie ma czegoś takiego. Stąd moje zwątpienie i ironia, kiedy Jezus określił swoją misję jako dawanie świadectwa o prawdzie. „Po to przyszedłem na świat, aby dać świadectwo prawdzie”. Naiwniak. Przecież to nie my mamy jej służyć, lecz ona nam. Prawdziwe jest tylko to, co przynosi korzyść. O reszcie możesz spokojnie zapomnieć.

Redaktor: *Pewnie jesteś świadomy, że rozmowa z tobą nie podniosła mnie na duchu. Wręcz przeciwnie.*

Pilat: Trudno. Jeśli czegoś takiego oczekiwałeś, to należało się raczej umówić z człowiekiem pokroju Jezusa. Trochę szkoda, że już Go nie ma między nami...

Setnik spod krzyża



A gdy nadeszła godzina szósta, mrok ogarnął całą ziemię aż do godziny dziewiątej. O godzinie dziewiątej Jezus zawołał donośnym głosem: Eloi, Eloi, lama sabachthani, to znaczy: Boże mój, Boże mój, czemuś Mnie opuścił? Niektórzy ze stojących obok, słysząc to, mówili: Patrz, woła Eliasza. Ktoś pobiegł i napelniwszy gąbkę octem, włożył na trzcinę i dawał Mu pić, mówiąc: Poczekajcie, zobaczymy, czy przyjdzie Eliasza, żeby Go zdjąć /z krzyża/. Lecz Jezus zawołał donośnym głosem i oddał ducha. A zasłona przybytku rozdarła się na dwoje, z góry na dół. Setnik zaś, który stał naprzeciw, widząc, że w ten sposób oddał ducha, rzekł: Prawdziwie, ten człowiek był Synem Bożym.

Mk 15, 33-39

Redaktor: *Już po służbie?*

Setnik: Tak, ale dzisiaj dostaliśmy zadanie, którego najbardziej nie lubię wykonywać. Ale zachowaj to dla sie-

bie. Nie chciałbym, aby moje prywatne opinie o powierzonych mi zadaniach dotarły do moich zwierzchników. Według nich żołnierz nie ma mieć własnego zdania. Ma tylko wykonywać rozkazy. Czasami jednak nie jest to takie proste, w sercu rodzą się pytania i wątpliwości.

Redaktor: *Nie martw się, potrafię trzymać język za zębami. Ale konkretnie, o jakie zadanie chodzi?*

Setnik: Egzekucję. Rozumiem pozbawić kogoś życia w walce, zwłaszcza broniąc własnej ojczyzny. Mój przeciwnik w takim wypadku może walczyć podobnie jak ja, jak równy z równym. Ma jakieś szanse. W egzekucji staje przede mną człowiek bezbronny, którego ja, w imię prawa ustanowionego przez innych ludzi, mam pozbawić życia. W tym momencie on już nie może się bronić. Tak, wiem, co zaraz powiesz, że ci, którzy są skazywani na śmierć, nie otrzymują tego wyroku za niewinność. Sami dopuścili się wielkiego zła i ponoszą tylko sprawiedliwą karę. Ale co to za kara, gdy przestaje się istnieć? Przecież kara ma za zadanie naprawić kogoś, w jakimś sensie także zadośćuczynić za zbrodnię. A nawet jeśli ktoś dopuścił się największej zbrodni, zabił kogoś, to czy jego śmierć – w majestacie prawa – przywróci tamto, odebrane, życie? Na pewno nie. Dzisiaj wykonaliśmy trzy wyroki. Jeden był szczególny. Byłem bowiem pewien, co nie zdarzyło mi się do dzisiaj, że umiera człowiek niewinny. Był ofiarą parachunków religijnych między Żydami. Nazywał się Jezus. Niewiele o Nim wiem. Podobno pochodził z prostej rodziny. Ale kilka lat temu rozpoczął głoszenie jakichś nauk. Zbierał nawet spore tłumy wokół siebie.

Głównie dzięki temu, że posiadał moc uzdrawiania. Swoją drogą tych tłumów jakoś nie widziałem dzisiaj pod krzyżem. Nawet z Jego najbliższych uczniów przy egzekucji obecny był tylko jeden. Była też i Jego Matka. Gdy wykonujemy wyroki, to właśnie matek najbardziej mi żal. Zawsze są obecne. Nie przeraża ich okrucieństwo, na które muszą patrzeć. Przecież umiera ich dziecko! One muszą tu być. Nad największym zbrodniarzem jego matka płacze, jakby umierał najbardziej wartościowy człowiek. Święty. Jedyny. Nic dziwnego, bo dla każdej matki jej dziecko takie właśnie jest i pozostanie do końca życia. Rozrzewniłem się trochę, a miałem ci opowiedzieć o śmierci Jezusa, Króla Żydowskiego.

Redaktor: *Króla Żydowskiego?! Jakiego króla? Żartujesz sobie ze mnie? Nie słyszałem, że pojawił się nowy król w narodzie izraelskim. Kiedy? Jak?*

Setnik: Nie panikuj! To nie był król, tylko za takiego się podawał. Piłat w swojej złośliwości – wiesz przecież jaki on jest – kazał umieścić nad krzyżem właśnie taki napis: Jezus z Nazaretu – Król Żydowski. Tylko po to, aby jeszcze bardziej wyprowadzić z równowagi arcykapłanów i przywódców żydowskich. Bo to oni kazali go ukrzyżować. Zabili własnego króla. Ale ich rozwścieczył ten napis. A Piłat miał dobrą zabawę. Oczywiście kosztem innych.

Redaktor: *Lepiej uważaj na słowa! Piłat ma wszędzie uszy. Ja na ciebie nie doniosę, ale wiesz, ilu jest życzliwych...*

Setnik: Wiem, wiem, ale czy ciągle trzeba milczeć, ukrywać prawdę, bo co sobie inni pomyślą, bo ktoś na mnie

krzywo popatrzy, stracę posadę, zakończy się moja błyskotliwa kariera? Coraz trudniej oddychać w takiej atmosferze. Uważaj, co mówisz, gdzie, o kim, w jakim towarzystwie... Po pewnym czasie nie masz już własnego zdania, poglądów, a tylko zastanawiasz się, czy to, co mówisz, spodoba się tym, którzy mają nad tobą władzę. I poświęcasz prawdę, lękając się o jakieś małe posadki i stołki. Ale znowu odeszliśmy od Jezusa. Dawno nie widziałem człowieka tak umierającego.

Redaktor: *W takich męczarniach?*

Setnik: Nie, nie o to chodzi. Umierał jak każdy. W bólu wszyscy jesteśmy równi. Nie widziałem człowieka, który by nie cierpiał w chwili ukrzyżowania. Tu nie ma mocnych. Nawet ludzie o wielkiej sile fizycznej, przyzwyczajeni do trudów i cierpienia, nie wytrzymują próby krzyża. A Jezus do takich na pewno nie należał. Nie był nawet w stanie wnieść belki krzyża na Golgotę. Ale to właśnie On umierał inaczej niż wszyscy. Z godnością; i te słowa, które wypowiadał przed śmiercią... Czegoś takiego jeszcze nie widziałem, a przecież wykonuję egzekucje od wielu lat.

Redaktor: *W końcu powiedz, co się stało.*

Setnik: Zaczęło się od niewinnego dialogu między samymi skazanymi. Zapomniałem ci powiedzieć, że oprócz Jezusa ukrzyżowano dwóch pospolitych bandytów. Jeden z nich dołączył się do bluźnierstw, jakie wypowiadali moi żołnierze. „Jeśli jesteś Synem Bożym, to zejdz z krzyża” – szydzili. Skazaniec dał upust swojej nienawiści, złości, bezradności. Oberwało się pierwszemu

napotkanemu, a więc Jezusowi. On był najbliżej. Zbrodniarz domagał się, aby Ten ich uwolnił. I bluźnił. Nagle drugi wiszący skarcił go ostrymi słowami. „My ponosimy sprawiedliwą karę”. Takie wyznanie nie jest częste w ustach skazańców, pomyślałem. „On” – kontynuował wiszący, wskazując głową na Jezusa – „On cierpi niewinnie”. I zwrócił się do Jezusa: „Jezu, gdy będziesz w raju, wspomnij na mnie”. Jezus spojrzał na niego i powiedział: „Zaprawdę powiadam ci, jeszcze dziś będziesz ze mną w raju”. Obiecał mu raj?! Jakim prawem? Za kogo On się uważa, aby proponować komuś życie wieczne? Albo jest szaleńcem, albo Bogiem. Innego rozwiązania nie widzę. To drugie wydawało mi się niemożliwe, tak więc pewnie był pomyłony – pomyślałem wtedy pod krzyżem.

Redaktor: *Ale sam wspomniałeś, że mówił i czynił takie rzeczy, że trudno Go posądzić, iż odszedł od zmysłów. Zresztą gdyby był szaleńcem, Żydzi nie musieliby pozbywać się Go w tak okrutny sposób. Wystarczyłoby powiedzieć, że to chory psychicznie i nikt by Go już nie słuchał.*

Setnik: Chyba masz rację. On był normalny. To nie był człowiek, który postradał zmysły. Czemu więc obiecał skazańcowi życie wieczne? Czyżby chciał go pocieszyć w chwili śmierci? Nie wiem. Ciekawe, bo człowiek umierający na krzyżu najczęściej jest tak zamknięty w swoim bólu, że myśli tylko o sobie. A On był w stanie myśleć o innych. Chociażby o skazańcu, który umierał obok Niego albo o swojej Matce.

Redaktor: *O Matce?*

Setnik: Zapomniałeś? Wspomniałem ci, że była tam obecna. Prosta kobieta, ale o niezwykłej urodzie. Był przy Niej jeden z Jego uczniów i Jezus nakazał mu, aby troszczył się o Nią, a Ona o niego. Ale jeszcze bardziej zdumiały mnie słowa skierowane pod naszym adresem, to co powiedział do nas, żołnierzy.

Redaktor: *Złorzeczył wam?*

Setnik: Gdyby nam złorzeczył, nie byłoby w tym nic dziwnego. Wszyscy już przyzwyczailiśmy się, że skazańcy właśnie nas winią za to, co się dzieje. I nie przebierają w słowach. Ale Jezus powiedział przedziwną rzecz, która powaliła mnie z nóg. Czegoś takiego w życiu bym się nie spodziewał. O ile dobrze pamiętam były to słowa o... przebaczeniu: „Ojcze, odpuść im, bo nie wiedzą co czynią” lub coś podobnego. Wprawdzie nie rozumiem, o jakim Ojcu On mówił i dlaczego to On ma nam przebaczyć, ale ten brak nienawiści pod naszym adresem był wręcz powalający. Nie byłem na to przygotowany. Jak to możliwe, aby na zło, na zadawanie bólu, na poniżanie, wyszydzanie, na wszelkie możliwe okropności, jakie człowiek może zgotować człowiekowi, odpowiedzieć dobrem, przebaczeniem? Na zło odpowiada się złem. I to jest normalne. Oko za oko, ząb za ząb. Nie ma innej logiki. Inaczej przegrałeś. Jeśli ty nie zniszczysz swoich prześladowców, oni zniszczą ciebie. I to bardzo szybko. W postawie Jezusa nie tylko nie było nienawiści, On jakby rozumiał, dlaczego to czynimy, nie miał do nas pretensji, powiem więcej: litował się nad nami. Role jakby się odwróciły – to nie On, tam na krzyżu, był nieszczęśliwy i biedny jako ten, którego zaatakowało wszelkie możliwe zło tego świa-

ta; o wiele biedniejsi i bardziej nieszczęśliwi byliśmy my, którzy to zło czyniliśmy. Jezus tym niesamowitym zachowaniem chciał jakby zatrzymać przekłętą spiralę zła. Nie pomnażać go. Odpowiedzieć na zło dobrem, przebaczeniem, miłością. Zatrzymać zło na sobie i w sobie. To zabrzmiało dziwnie, aż boję się wypowiedzieć głośno te myśli, ale On sprawiał wrażenie jakby... nas kochał – nas, swoich nieprzyjaciół. To jakiś obłęd. Istna kwadratura koła. Nieprzyjaciół to właśnie ten, kogo nie kocham z zasady, nienawidzę go, bo wyrządził mi zło. Ja muszę go nienawidzić, inaczej nie będzie już moim wrogiem.

Redaktor: *Miłość nieprzyjaciół? Myślisz, że coś takiego jest możliwe?*

Setnik: Zacząłem się nad tym zastanawiać. Chociażby nad tym, dlaczego moim pierwszym odruchem na same słowa „miłość nieprzyjaciół” był aż tak silny bunt: „nie, taka miłość jest niemożliwa”. Wydaje mi się, że płynął on ze skojarzenia słowa ‘kochać’ z całym bogactwem uczuć, które towarzyszą doświadczeniu miłości. Uczucie radości, pogody ducha, euforii, przyspieszonego bicia serca tylko z tego powodu, że kogoś widzisz lub że z kimś rozmawiam, a nawet tylko o kimś myślę. Ale czy miłość to uczucie? Tylko i wyłącznie uczucie i nic więcej? Tu może leży klucz do zrozumienia miłości nieprzyjaciół. Jeśli przyjmiemy, że miłość jest jedynie uczuciem, czyli reakcją mojego organizmu na drugą osobę, to rzeczywiście pokochanie nieprzyjaciół jest niemożliwe. Jak zmusić się, aby mieć takie uczucia? Czy jest możliwe, aby na widok wroga, serce wypełniło się niezwykłą radością? Uczucia są niezależne od

mojej woli, one po prostu są we mnie, w moim organizmie. Są swoistymi reakcjami na sytuacje zewnętrzne. Nie mogę na siłę wywołać jakiegoś uczucia. Trudno sprawić, aby spontanicznie, naturalnie zjawiały się pozytywne emocje na widok tych, którzy wyrządzili mi wielką krzywdę. Jeśli istotnie tak jest, to nigdy nie pokocham moich nieprzyjaciół. Ale kochać to przede wszystkim pragnąć autentycznego dobra dla drugiej osoby. Pragnąć i realizować je ze wszystkich sił. Nie patrząc na koszty. Czasami trzeba zaprzecić się samego siebie. Gdy przyjmujemy taką wizję miłości, to pokochanie nieprzyjaciół staje się możliwe. Jeśli ktoś wyrządził ci krzywdę, nie mścij się. I to jest przejaw miłości. Dokładnie tak, jak uczynił to Jezus na krzyżu. Odpowiedz wrogowi dobrem, sprawiedliwością, szacunkiem dla niego jako człowieka, nawet jeśli należy potępić jego czyny. Jest człowiekiem, ma swoją godność i trzeba ją uszanować. Może na tym polega owa miłość nieprzyjaciół?

Redaktor: *I co, spróbujesz ją realizować? Od jutra? Przecież tobie, żołnierzowi, nieprzyjaciół pewnie nie brakuje.*

Setnik: Nie bądź złośliwy. To były tylko teoretyczne rozważania.

Redaktor: *A co dalej z Jezusem?*

Setnik: Nic, po prostu umarł. Ale był to człowiek sprawiedliwy. Kiedy spoglądałem w ciszy na martwego Jezusa, niewinnie ukrzyżowanego, po raz kolejny wróciło do mnie pytanie, z którym od lat nie potrafię sobie poradzić.

Redaktor: *Jakie?*

Setnik: Pytanie o zło. Dlaczego ono istnieje? I dlaczego jest go aż tyle? Dlaczego cierpią niewinni? Czy jest ktoś na tej ziemi, kto byłby w stanie dać mi zadawalającą odpowiedź? Nie wiem. Kiedyś, przed laty chodziłem do szkół i słyszałem wiele mądrych teorii odnośnie zła, jego pochodzenia. Dla jednych zło jest odwieczne tak samo jak dobro, inni utrzymują, że świat z natury swej jest zły i taki pozostanie. Byli i tacy, którzy uważali, że jest dokładnie przeciwnie, że świat, w którym żyjemy, jest najwspanialszy, najlepszy z możliwych. A zło? Wynika z naszego niedoskonałego poznania, po prostu nie potrafimy dostrzec, że to co uważamy za zło, wcale takim nie jest. Jest co najwyżej elementem koniecznym dla dalszego rozwoju, prowadzącym do jeszcze większego dobra. Żadna odpowiedź mnie nie zadowoliła. Cierpienie jest wszechobecne w naszym życiu. Czy istnieje na świecie człowiek, który nigdy nie cierpiał, w jakikolwiek sposób? Z całą odpowiedzialnością za swoje słowa mówię – na pewno nie. Każdy z nas cierpiał i będzie cierpiał. Oczywiście w różnym stopniu. Są ludzie, którzy uważają, że nigdy nie zaznali szczęścia, takich można spotkać, ale twierdę, że nie ma człowieka, który miałby odwagę powiedzieć: „nigdy nie zaznałem żadnego, nawet najmniejszego cierpienia”. A jak różnorodne jest cierpienie: fizyczne, duchowe, zawinione, przypadkowe, związane z moimi bliskimi, zadane przez bliskich, wrogów, pochodzące z sił natury itd. Najbardziej boli nas przypadkowość i niewinność cierpienia: dlaczego właśnie ten dom się zawalił, dlaczego zginęły małe dzieci? Co one zawiniły? Dlaczego inni ocalili? Dlaczego ten mło-

dy człowiek zachorował? Ciagle powtarza się dlaczego, dlaczego. Komu stawiamy to pytanie? Najczęściej Bogu. My odpowiedzi na to pytanie nie znamy, wymyka się nam. Tylko Bóg byłby w stanie na nie odpowiedzieć.

Redaktor: *Tak, i Bóg ma bardzo konkretną odpowiedź na twoje pytanie. Cierpisz, spotkało cię to bo zgrzeszyłeś. To jest kara za grzech. Opamiętaj się i nawróć! Taka jest odpowiedź Boga na twoje pytanie.*

Setnik: Wiesz, że nie należę do ludzi specjalnie religijnych, ale i tak nie zgadzam się z tobą. Kim byłby ten Bóg, który natychmiast po występkę karałby człowieka? Jak chciałby nas prowadzić ku sobie, przez strach, lęk? Jak Mu nie będę posłuszny, to ześle na mnie jakies niesamowite cierpienie? To byłaby karykatura Boga. Znam wielu ludzi bezbożnych, którzy jednak nie doświadczają wielkich cierpień, a jednocześnie ilu jest bogobojnych niosących nadludzkie cierpienia. Myślenie, że zło jest tylko i wyłącznie karą Bożą ku naszemu nawróceniu, byłoby zbyt proste. Może byśmy nawet chcieli, żeby tak było, bo przynajmniej byłoby to jakies wytłumaczenie. Bolesne, ale zło miałoby jakis sens, który możnaby jasno dostrzec i nazwać. Cierpienie nie byłoby irracjonalne, przypadkowe, a właśnie z tym nie możemy się nigdy pogodzić. Jednakże taka odpowiedź zupełnie mnie nie zadowala. Nie, wcale nie dlatego, że uważam się za człowieka bez grzechu. Każdy z nas ma sobie wiele do zarzucenia. Moje grzechy są i będą liczne, ale wiem, że wynikają one z mojej ludzkiej słabości, a nie ze złej woli. A tymczasem wydaje mi się, że cierpienia, których doświadczyłem, nie są współmier-

ne do tego, co popełniłem. A ponadto cierpienie wcale nie musi spowodować nawrócenia człowieka, lecz wręcz przeciwnie – może go zniszczyć. Czyżby Bóg tego nie wiedział? Nie da się też do końca wyjaśnić, dlaczego jest tyle cierpienia, odwołując się wyłącznie do wolnej woli człowieka. Jesteśmy wolni, bo takimi stworzył nas Bóg i możemy zadawać sobie wzajemnie ból i cierpienie. Wiele tragedii ma swoje źródło właśnie w drugim człowieku, ale czy wszystkie? Gdzie jest wola człowieka, gdy dziecko rodzi się chore? Gdzie jest wola człowieka w czasie kataklizmów, tragicznych wypadków? Dlaczego jeden zginął, a drugi nie? Czy tamten był bardziej grzeszny, a ten mniej? Nie, tak nie da się tego wytłumaczyć. Ale jak bardzo trudno pozbyć się tego jednego słowa: „dlaczego”. Panie Boże dlaczego tak się dzieje? Dlaczego, dlaczego... I wiesz, do czego doszedłem? Że może nasze pytanie, które kierujemy do Boga, jest źle postawione. Ciągłe szukamy odpowiedzi na pytanie: dlaczego zło, dlaczego tyle cierpienia, dlaczego mnie to spotkało, dlaczego w żaden sposób nie mogę pomóc temu, kogo kocham. A może na to pytanie, tutaj na ziemi, po prostu nie ma odpowiedzi, jest ono zakryte przed nami do czasu, aż stanimy przed Bogiem twarzą w twarz. I trzeba się z tym pogodzić. Nie ma innego wyjścia. Ale jest inne, równie ważne pytanie, na które jest odpowiedź i to bardzo konkretna. Nie „dlaczego?”, lecz „za kogo ja to cierpienie mogę ofiarować? Z kim mogę się złączyć przez to cierpienie?”. To całkiem inna perspektywa, o wiele trudniejsza czy wręcz heroiczna, ale Bóg z pewnością wejrzy na mnie. Bo mogę się złączyć z konkretnym człowiekiem, którego kocham, i za niego mogę to cierpienie ofiarować. Cierpienie, nie musi czynić samot-

nymi i oddzielać nas od siebie, może łączyć z innymi ludźmi. Łączyć tak, jak łączy nas miłość. Przecież najgłębsze cierpienie płynie z miłości, a jednak to miłość nie tylko chroni nas przed zniszczeniem, ale wręcz staje się naszą wewnętrzną mocą w cierpieniu. Może warto pamiętać – nie „dlaczego”, lecz „za kogo”.

Redaktor: *Myślisz, że Jezus umierając na krzyżu był tego świadomy?*

Jan: Nie wiem, w końcu nie jestem Bogiem, aby wiedzieć, co kryje się w sercu człowieka. Ale z Niego była tak niezwykła miłość, mówiłem ci o niej, że chciałoby się powiedzieć, że On umierał za wszystkich, za każdego człowieka. Ale chyba trzeba by być synem samego Boga, aby zawrzeć w sobie miłość do wszystkich ludzi. I jeszcze umrzeć za nich?! Wśród bogów rzymskich takiego na pewno nie ma. Oni nawet palcem by nie kiwnęli, aby poświęcić cokolwiek dla człowieka. Nasi rzymscy bogowie są jeszcze bardziej egoistyczni niż my sami.

Redaktor: *Ale ci się zebrało na żale. Nie tylko swoich przelożonych nie oszczędziłeś, ale nawet własnych bogów.*

Setnik: I to jest znak, że czas najwyższy kończyć naszą rozmowę. Jeszcze powiem za dużo. A o pracę dzisiaj niełatwo...

Żołnierz spod grobu



Po upływie szabat, o świcie pierwszego dnia tygodnia przyszła Maria Magdalena i druga Maria obejrzeć grób. A oto powstało wielkie trzęsienie ziemi. Albowiem anioł Pański zstąpił z nieba, podszedł, odsunął kamień i usiadł na nim. Postać jego jaśniała jak błyskawica, a szaty jego były białe jak śnieg. Ze strachu przed nim zadrżeli strażnicy i stali się jakby umarli. Anioł zaś przemówił do niewiast: Wy się nie bójcie! Gdyż wiem, że szukacie Jezusa Ukrzyżowanego. Nie ma Go tu, bo zmartwychwstał, jak powiedział. Chodźcie, zobaczcie miejsce, gdzie leżał. A idźcie szybko i powiedzcie Jego uczniom: Powstał z martwych i oto udaje się przed wami do Galilei. Tam Go ujrzycie. Oto, co wam powiedziałem. Pośpiesznie więc oddaliły się od grobu, z bojaźnią i wielką radością, i biegły oznajmić to Jego uczniom. A oto Jezus stanął przed nimi i rzekł: Witajcie! One podeszły do Niego, objęły Go za nogi i oddały Mu pokłon. A Jezus rzekł do nich: Nie bójcie się. Idźcie i oznajmijcie moim braciom: niech idą do Galilei, tam Mnie zobaczą. Gdy one były w drodze, niektórzy ze straży

przyszli do miasta i powiadomili arcykapłanów o wszystkim, co zaszło. Ci zebrali się ze starszymi, a po naradzie dali żołnierzom sporo pieniędzy i rzekli: Rozpowiadajcie tak: Jego uczniowie przyszli w nocy i wykradli Go, gdyśmy spali. A gdyby to doszło do uszu namiestnika, my z nim pomówimy i wybawimy was z kłopotu. Ci więc wzięli pieniądze i uczynili, jak ich pouczono. I tak rozniosła się ta pogłoska między Żydami i trwa aż do dnia dzisiejszego.

Mt 28, 1-15

Redaktor: *Przepraszam, ale czy to nie ty byłeś wyznaczony do pilnowania grobu Jezusa?*

Żołnierz spod grobu: *Przestań! Różne zadania przyszło mi wykonywać w moim żołnierskim życiu, ale pilnować grobu? Co za bzdura.*

Redaktor: *Nie przesadzaj! Ile razy widziałem was przy grobach: wodzów, zasłużonych dowódców. Więc nie dramatyzuj! Ty zresztą jesteś tylko od wykonywania rozkazów. Taki masz zawód.*

Żołnierz spod grobu: *Ale tym razem to nie była żadna warta honorowa! Postawiono nas przy grobie jakiegoś bandyty żydowskiego, na którym wykonaliśmy wyrok śmierci! Nie rozumiem tego. Zmarli przestają być już groźni. To żywych trzeba pilnować, stawiać przy nich straż, śledzić ich każdy krok. Często w moim zawodzie trzeba było kogoś „wyeliminować” i wtedy nastawał święty spokój. Umarli już nie są w stanie nam przeszkadzać. Czasami kłopoty mogą się pojawić, gdy ist-*

nieją całe grupy, których należałoby się pozbyć ze społeczeństwa. Chociaż najczęściej wystarczy, że uda się pozbyć przywódców, a reszta przestaje być groźna. Nie kryłem więc swojego zdziwienia, gdy dowódca kazał mi wziąć kilku moich ludzi i udać się na cmentarz, aby pilnować grobu. Ale, jak sam wspominałeś, jestem od wykonywania rozkazów. Zlecano już nam takie bzdury, że mogłem nawet popilnować nieboszczyka. Przynajmniej, tak nam się wydawało, dla uniknięcia kłopotów.

Redaktor: *I co, nie było?*

Żołnierz spod grobu: Czyżbyś coś wiedział, że jesteś taki dociekliwy?

Redaktor: *Nie, zajmuję się historią tego – jak powiedziałaś – „żydowskiego bandyty”, czyli Jezusa.*

Żołnierz spod grobu: Jeśli to był ktoś bliski twemu sercu, to przepraszam. Nie chciałem cię dotknąć, ale zrozum, jestem po całonocnej służbie, a ponadto dla mnie był to tylko kolejny żydowski buntownik. Okazało się jednak, że z owym nieboszczykiem było trochę kłopotów.

Redaktor: *Właśnie dlatego ciebie szukam. Cała Jerozolima aż huczy. Dla jednych On zmartwychwstał, według innych Jego zwłoki zostały ukradzione. Podejrzenie padło oczywiście na Jego uczniów. Możesz choć trochę zdradzić, co się stało. Musieliście przecież coś zauważyć!*

Żołnierz spod grobu: Powiem ci, co wiem. Do tego zadania wyznaczyłem pięciu ludzi. Wydawało mi się, że taka

liczba będzie wystarczająca – w końcu chodziło o przypilnowanie grobu! Nie miałem problemu ze znalezieniem ochotników. Chłopcy po prostu woleli wyrwać się z pałacu Piłata; Poncjusz w ostatnim czasie nie był w najlepszym nastroju. Udaliśmy się w okolice grobu. Był bardzo solidny, nowy. Należał chyba do kogoś bardzo zamożnego, bo został bardzo starannie wykończony. Tym bardziej dziwny był fakt, że pochowano tam jakiegoś przestępcę i buntownika. Przynajmniej taką otrzymałem relację od mojego zwierzchnika. Na wejściu zatoczony był potężny kamień.

Redaktor: *Mimo twojego sceptycyzmu, co do powierzonego ci zadania, widzę, że obejrzałeś dokładnie grób i jego okolice. Profesjonalista z ciebie.*

Żołnierz spod grobu: Oczywiście. Jestem zawodowcem. Zadanie to zadanie. Po wizji lokalnej nabrałem całkowitego spokoju. Nie ma obaw – pomyślałem sobie w duchu – gdyby ktoś chciał odsunąć ten kamień, to narobiłby takiego hałasu, że zbudziłby nieboszczyka, a co dopiero nas, gdybyśmy przez przypadek posnęli.

Redaktor: *Czyli jednak miałeś jakieś sygnały, że ta warta nie jest całkowicie bez sensu?*

Żołnierz spod grobu: Tak. Dla mnie osobiście argumenty nie były przekonujące, ale zdaniem moich zwierzchników – a dokładniej według żydowskich przywódców – było to wielce prawdopodobne. Jezus wszedł w poważny konflikt ze swoim środowiskiem, szczególnie z żydowskimi arcykapłanami i uczonymi w Piśmie. Chodziło im o jakieś sprawy religijne. Nie znam szcze-

gółów. To oni doprowadzili do procesu i skazania na ukrzyżowanie. Podobno za życia ów Jezus zapowiadał, jaki będzie koniec Jego misji (zresztą łatwo było to przewidzieć, taki jest najczęściej koniec wszystkich reformatorów religijnych). Było jednak coś jeszcze. Zapowiadał bowiem, że powstanie z martwych. A miał wielu zwolenników, nawet w kręgach najwyższej władzy. Tego obawiali się Żydzi. Przecież to nic trudnego – zorganizować małą grupę, która wykradnie ciało, złoży je gdzieś indziej, a całemu światu ogłosi, że zmartwychwstał. Proste! Pamięć o Jezusie nie zaginie, a i Jego zwolennikom wieść się będzie pewnie nie najgorzej. Osobiście nie byłem przekonany, że Jego uczniowie będą zdolni do zrobienia czegoś takiego. Po Jego aresztowaniu natychmiast się rozproszyli, a tłum, który tak niedawno podziwiał Go, krzyczał na Jego cześć, szybko zapomniał o wszystkim i wrócił do swego codziennego życia. Pomimo pewnych sygnałów z góry nie przewidywałem większych kłopotów. Bardziej myślałem o odpoczynku niż o kłopotach.

Redaktor: *Poszliście spać?*

Żołnierz spod grobu: Niezupełnie. Postanowiliśmy czuwać na zmianę. Po krótkiej naradzie wyznaczyłem wartę przy grobie i poszedłem spać. Obudziło mnie silne szarpnięcie. Otworzyłem oczy, odruchowo sięgnąłem po miecz i zobaczyłem przerażone oczy mojego żołnierza. „Ukradli Go!”, krzyczał mi do ucha. „Ilu naszych jest zabitych?” – zapytałem natychmiast, myśląc, że musieli posłużyć się siłą, aby wyeliminować pilnujących strażników. „Nikt” – usłyszałem w odpowiedzi. „Nawet nie słyszeliśmy, kiedy to się stało”. Zerwałem się

na równe nogi. Rzeczywiście, kamień był odsunięty, a grób był pusty.

Redaktor: *Jak im się to udało?*

Żołnierz spod grobu: Zadawałem sobie dokładnie to samo pytanie. Jak to mogło się stać? Przecież sam spałem zaledwie kilka metrów od wejścia. Odsunięcie kamienia bez narobienia hałasu było fizyczną niemożliwością. Osobiście to sprawdziłem, a ponadto nikt nie byłby w stanie zrobić tego w pojedynkę. Jakim cudem żaden z moich ludzi, ani ja sam, niczego nie usłyszeliśmy? Otruto nas, dodano czegoś, abyśmy spali kamiennym snem? Ale kiedy? Jak? Grób był pusty i to mnie przerażało. Co więcej, pustka Jego grobu oznaczała wielkie kłopoty dla mnie i dla moich ludzi.

Redaktor: *Nie wykonaliście zadania?*

Żołnierz spod grobu: Otóż to. Zasada w wojsku jest jasna: ukarać za niewykonanie rozkazu, a dopiero potem można dociekać, dlaczego tak się stało.

Redaktor: *Przecież przełożeni nie musieli się o tym dowiedzieć...*

Żołnierz spod grobu: Żartujesz? Za dużo osób wiedziało o tym rozkazie, aby utrzymać wszystko w tajemnicy. Woląłem uprzedzić moich zwierzchników, zanim zrobią to sami Żydzi. Jednego z żołnierzy posłałem z wiadomością do dowódcy.

Redaktor: *Na co liczysz, że przymkną oko na wasze spanko?*

Żołnierz spod grobu: Nie wiem, może po cichu mam nadzieję, że sprawa nie jest aż tak bardzo ważna, że nikt z tej kradzieży nie będzie robił wielkich problemów. Skończy się na jakimś upomnieniu, dodatkowej służbie przez kilka dni i wszystko rozejdzie się po kościach. Co to za przestępstwo – ukraść czyjeś zwłoki! Nie ukrywam: liczę, że nie będą się za mocno czepiać.

Redaktor: *Nie przeliczysz się przypadkiem?*

Żołnierz spod grobu: Nie wiem. Czekam właśnie na moich żołnierzy. Wysłałem wszystkich do garnizonu. Sam tu jeszcze zostałem, ponieważ zniknięcie Jezusa wydaje mi się jednak bardzo tajemnicze. Chciałem wyjaśnić parę wątpliwości.

Redaktor: *Prywatne dochodzenie?*

Żołnierz spod grobu: Można tak to nazwać. Jak ci już wspomniałem, niczego nie słyszeliśmy, ani niczego nie widzieliśmy. Dlatego jeszcze raz bardzo starannie obejrzałem kamień. Zasunęliśmy go wspólnie, a następnie odsunęliśmy. Hałas był tak niemiłosierny, że na pewno zbudziłby czujnych żołnierzy, śpiących zaledwie kilka kroków dalej. Po odejściu moich ludzi zostałem sam przy grobie. Właściwie nie wiem dlaczego. Aby wszystko przemyśleć? Wymyślić jakąś sensowną linię obrony? Pogodzić się z końcem kariery w wojsku? Nagle w oddali usłyszałem kobiece głosy. Natychmiast ukryłem się. Kto wie, może należały do spisku. Przyszło kilka kobiet z wonnościami, aby namaścić ciało Jezusa. Stary pogrzebowy zwyczaj. Ale dlaczego teraz? Ciało namaszcza się przed złożeniem do grobu,

a nie kiedy jest tam już od trzech dni. Gdy zobaczyły otwarty grób, na ich twarzach pojawiło się przerażenie.

Redaktor: *Zobaczyły coś?*

Żołnierz spod grobu: To co my – pusty grób. Chyba nie były wciągnięte w spisek kradzieży – pomyślałem – bo grać takie przerażenie, gdy wokoło nie ma nikogo... po co? No tak, ale z drugiej strony dlaczego przyszły same?

Redaktor: *W tym nic dziwnego. Zwłoki namaszczają właśnie kobiety.*

Żołnierz spod grobu: To rozumiem, ale same niewiasty nie byłyby w stanie odsunąć kamienia. Kilku żołnierzy miało z tym poważny kłopot. Były pewnie obecne, gdy składano Jezusa do grobu i widziały, ile siły potrzeba do poruszania kamienia.

Redaktor: *Zawsze mogły liczyć na jakąś pomoc.*

Żołnierz spod grobu: O świcie? O tej porze nie ma za wielu spacerowiczów, na dodatek na cmentarzu. A ty jak zapragniesz podziwiać wschód słońca, to co – idziesz na najbliższy cmentarz?

Redaktor: *Złośliwiec!*

Żołnierz spod grobu: Jak widzisz, ich przyjście było mimo wszystko trochę podejrzane. Czyżby miały zachować pozory do końca? Weszły do grobu i po chwili wybiegły. Co ciekawe, na ich twarzach już nie było widać takiego przerażenia. Szybko uciekły. Czyżby zobaczyły w gro-

bie coś, czego ja nie widziałem? Nie miałem czasu, aby się rozglądać po grobowcu, stwierdziłem tylko, że zwłok tam nie ma i tyle. Poszedłem jeszcze raz do grobu. Pusty. Leżały tylko chusty, w które Jezus był pozawijany. Wcześniej nie zwróciłem na nie uwagi. Dziwne. Jedna z chust była elegancko zwinięta, położona osobno.

Redaktor: *Co w tym dziwnego?*

Żołnierz spod grobu: Jak to, nie widzisz w tym nic dziwnego? Wyobraź sobie, że jesteś jednym z tych, którzy wykradają zwłoki Jezusa. Podkradasz się i widzisz śpiących żołnierzy. Ryzyko istnieje. Mimo to decydujecie się na odsunięcie kamienia. Udało się. Nikt się nie obudził. Szybko zabieracie ciało... i w nogi. Myślisz, że byłbyś w stanie tak wielkiego napięcia i stresu pamiętać o złożeniu chusty? Wątpię. W takich chwilach liczy się każda sekunda, każdy ułamek sekundy. Wszystko trzeba zrobić nie tylko jak najciszej, ale także jak najszybciej. Żołnierze na razie śpią, ale mogą się niespodziewanie obudzić. Jeśli któryś z tych złodziei ciała Jezusa był w stanie poświęcić czas na staranne złożenie chusty, to podziwiam jego stalowe nerwy i opanowanie. Ale mimo to, trudno mi uwierzyć, że tak było. A jeśli nie...? To jakie byłoby inne rozwiązanie – że Jezus sam zmartwychwstał?

Redaktor: *Poza tymi niewiastami widziałeś jeszcze kogoś? A może pozostały jakieś ślady po złodziejach?*

Żołnierz spod grobu: Niczego nie znaleźliśmy. Nawet na trawie wokół grobu nie było żadnych śladów. Tak jakby złodzieje unosili się nad ziemią.

Redaktor: *A powinno coś pozostać?*

Żołnierz spod grobu: Według mnie tak. Człowiek nie potrafi fruwać. Poza tym nieśli okazały ciężar – zwłoki. Ślady na trawie, podobnie jak na ścieżce, powinny być widoczne gołym okiem. Nic nie znalazłem, poza późniejszymi śladami owych kobiet. A potem śladów zrobiło się sporo, bo nadeszli następni.

Redaktor: *Kto?*

Żołnierz spod grobu: Kiedy kobiety odeszły, ponownie ukryłem się, przypuszczając, że na „miejscu przestępstwa” mogą pojawić się inni. Nie myliłem się. Po pewnym czasie przybiegł jeden mężczyzna. Zobaczył grób. Nie wszedł do środka. Co chwila nerwowo oglądał się za siebie, jakby czekał jeszcze na kogoś. Po chwili nadbiegł drugi, bardziej zaspany, chyba starszy od tego pierwszego. Obaj weszli do grobu. Byli to Jego uczniowie. Jednego z nich pamiętam z procesu Jezusa. Chciałem zobaczyć ich twarze po wyjściu z grobu. Pojawili się. Rozradowani, poklepywali się z radością po plecach. Jeśli ukradli Jego ciało, to po co tu jeszcze przyszedli? Przecież wiedzieli, że się udało. Nikogo z nas nie zbudzili. Chcieli sprawdzić, czy nie pozostały żadne ślady? Po co? Narzązać się bez powodu? Trochę to niezrozumiałe. Reakcja zarówno niewiast, jak i uczniów na widok pustego grobu była dla mnie bardzo zastanawiająca. Odniosłem wrażenie, jakby ci ludzie zaczęli w coś wierzyć właśnie przez to, że... nic nie zobaczyli. Pusty grób. To doświadczenie pustki jakby przemawiało do nich w sposób szczególny. Czyżby pustka tego grobu coś dla nich znaczyła? Pustka rodzi rozczarowanie, nic więcej.

Redaktor: *Niekoniecznie. Czasami pustka mocno przemawia. Przypomnij sobie momenty rozstania z ukochaną osobą. Jej nieobecność zaczyna do ciebie mówić, wręcz krzyżeć o twojej miłości. Tęsknota wywołana pustką, nieobecnością fizyczną ukazuje mi, jak bardzo ta osoba jest zapisana we mnie. Do jakiego stopnia jest częścią mnie. Jej bliskość, obecność jest już dla mnie tak naturalna, potrzebna, konieczna, że gdy jej nie ma, zaczynam boleśnie to odczuwać. Ból pustki mówi: „Rzeczywiście kocham ją tak mocno, że nie jestem w stanie już bez niej żyć, czuję to sobą – bo tak silnie tęsknię”. I tego doświadczenia nic nie będzie w stanie ukoić, nic, poza ukochaną osobą. Pustka nieobecności ukazuje ważne rzeczy.*

Żołnierz spod grobu: Może. Ale wracając do pustego grobu Jezusa, wciąż nie dawał mi on spokoju. Nie potrafiłem połączyć w harmonijną całość tych dwóch rzeczy: kradzieży zwłok – mało prawdopodobne, tego nie można było zrobić niezauważalnie – oraz tego dziwnego zachowania ludzi przychodzących tutaj o świcie – ich przemiany z przerażenia w radość. Wstyd mi się do tego przyznać, ale logiczniejsza, spójniejsza wydawała mi się... hipoteza zmartwychwstania.

Redaktor: *Uszom nie wierzę.*

Żołnierz spod grobu: Posłuchaj! Gdyby przyjąć, oczywiście w świetle rozumu całkowicie niedorzeczną hipotezę, że Jezus sam powstał z martwych, jak zapowiadał swoim uczniom jeszcze przed śmiercią, to mamy dobre wytłumaczenie zarówno niezauważonego zniknięcia zwłok, jak też zachowania kobiet i uczniów. Zmar-

twychwstanie byłoby cudem, więc mogło dokonać się bezszelestnie, bez pozostawiania najmniejszego śladu. A ponadto aniołowie czy jakieś inne byty duchowe mogły spokojnie poskładać chusty. Nie ma żadnych niejasności co do faktów, które tak bardzo intrygowały mnie od samego początku. Po drugie ludzie wchodzący do grobu znajdowali potwierdzenie niezwykłych zapowiedzi Chrystusa o Jego powstaniu z martwych. Ich twarze po wyjściu mówiły: „Bogu niech będą dzięki, a jednak to prawda, zmartwychwstał”. Gdyby nasza robocza hipoteza o zmartwychwstaniu Jezusa była prawdziwa, to wydaje mi się, że wiara Jego uczniów byłaby do pozazdroszczenia. Co mogłoby ich wtedy przerażać? Zwycięstwo nad śmiercią byłoby zwycięstwem, które dawałoby największą możliwą nadzieję tu na ziemi dla każdego człowieka. Czy istniałoby jakieś zło, które potrafiłoby zniszczyć nas do końca? Skoro śmierć została pokonana śmiercią tego człowieka, to co jeszcze jest w stanie nas pokonać? Gdyby choć jeden człowiek powstał z martwych, powrócił do życia, świat już by nigdy nie był taki sam. Pojawiłaby się w ludziach tak silna nadzieja na ostateczne zwycięstwo dobra nad złem w naszych codziennych zmaganiach, że nic nie byłoby w stanie jej zagasić. Ale to tylko hipoteza! A może jeszcze bardziej marzenie. Widzę, że jeden z moich żołnierzy wraca. I co, jakie przynosisz wieści?

Żołnierz: Panie dowódco, przynoszę wieści, i to nie najgorsze, oraz... pieniądze.

Żołnierz spod grobu: Jakie pieniądze? Co ty pleciesz? Spiełeś się już po drodze, czy co?

Żołnierz: Melduję, iż wydaje mi się, że jestem trzeźwy. Ale w drodze do garnizonu spotkałem arcykapłanów żydowskich. Wiedzieli już o wszystkim. Dostałem od nich sporą sumę pieniędzy do podziału między nas – oto one – w zamian za to, że będziemy wszędzie rozpowiadać, jak widzieliśmy uczniów Jezusa wykradających Jego ciało z grobowca. I jeszcze jedno. Gdyby pojawiły się jakieś problemy z naszymi zwierzchnikami, obiecują pomoc i wstawiennictwo. Nie mamy się o nic martwić. Wszystko załatwią jak należy. Czy mogę się oddalić?

Żołnierz spod grobu: Odmaszerować.

Redaktor: *I co ty na to?*

Żołnierz spod grobu: Nic. Proszę cię tylko, abyś nigdzie nie wspominał o naszej rozmowie. Dla swojego dobra przyjmuję oficjalną wersję wydarzeń: właśnie przypominam sobie, jak widziałem na własne oczy uczniów wykradających ciało Jezusa. Początkowo myślałem, że to sen, dlatego o tym nie wspominałem. Przyszło ich około trzydziestu. Byli uzbrojeni po zęby. Widocznie spodziewali się wartowników. Podjąłem decyzję, że się wycofujemy. Nie chciałem narażać życia moich ludzi... Poczekaj, dlaczego odchodzisz?



Maria Magdalena



A pierwszego dnia po szabacie, wczesnym rankiem, gdy jeszcze było ciemno, Maria Magdalena udała się do grobu i zobaczyła kamień odsunięty od grobu. Pobiegła więc i przybyła do Szymona Piotra i do drugiego ucznia, którego Jezus kochał, i rzekła do nich: Zabrano Pana z grobu i nie wiemy, gdzie Go położono. Wyszedł więc Piotr i ów drugi uczeń i szli do grobu. Biegli oni obydwaj razem, lecz ów drugi uczeń wyprzedził Piotra i przybył pierwszy do grobu. A kiedy się nachylił, zobaczył leżące płótna, jednakże nie wszedł do środka. Nadszedł potem także Szymon Piotr, idący za nim. Wszedł on do wnętrza grobu i ujrzał leżące płótna oraz chustę, która była na Jego głowie, leżącą nie razem z płótnami, ale oddzielnie zwiniętą na jednym miejscu. Wtedy wszedł do wnętrza także i ów drugi uczeń, który przybył pierwszy do grobu. Ujrzał i uwierzył. Dotąd bowiem nie rozumieli jeszcze Pisma, /które mówi/, że On ma powstać z martwych. Uczniowie zatem powrócili znowu do siebie. Maria Magdalena natomiast stała przed grobem płacząc. A kiedy /tak/ płakała, nachyliła się

do grobu i ujrzała dwóch aniołów w bieli, siedzących tam, gdzie leżało ciało Jezusa – jednego w miejscu głowy, drugiego w miejscu nóg. I rzekli do niej: Niewiasto, czemu płaczesz? Odpowiedziała im: Zabrano Pana mego i nie wiem, gdzie Go położono. Gdy to powiedziała, odwróciła się i ujrzała stojącego Jezusa, ale nie wiedziała, że to Jezus. Rzekł do niej Jezus: Niewiasto, czemu płaczesz? Kogo szukasz? Ona zaś sądząc, że to jest ogrodnik, powiedziała do Niego: Panie, jeśli ty Go przeniosłeś, powiedz mi, gdzie Go położyłeś, a ja Go wezmę. Jezus rzekł do niej: Mario! A ona obróciwszy się powiedziała do Niego po hebrajsku: Rabbuni, to znaczy: Nauczycielu! Rzekł do niej Jezus: Nie zatrzymuj Mnie, jeszcze bowiem nie wstąpiłem do Ojca. Natomiast udaj się do moich braci i powiedz im: Wstępuję do Ojca mego i Ojca waszego oraz do Boga mego i Boga waszego. Poszła Maria Magdalena oznajmiając uczniom: Widziałam Pana i to mi powiedział.

J 20, 1-18

Redaktor: *Co się stało? Wyglądasz na bardzo przejętą.*

Maria Magdalena: Widziałam Jezusa! Niemożliwe stało się możliwe. Powstał z martwych. Tak jak zapowiedział. A my temu niedowierzaliśmy! Zresztą, nikt wcześniej nie wierzył też w Jego zapowiedzi męki i śmierci. Jak uwierzyć w słowa zapowiadające zdradę, wydanie na śmierć, gdy był otoczony przez tłumy wielbicieli i słuchaczy? Wydawały się one całkowicie niedorzeczne. A jednak. Wszystko potoczyło się tak szybko. Zdrada. Szybki proces. Wyrok. Śmierć na krzyżu w strasznych męczarniach. My nie wierzyliśmy w zapowiedź

Jego śmierci, a co dopiero uwierzyć w deklarację zmartwychwstania!

Redaktor: *Ale Jezus przecież wskrzeszał umarłych. Słyszałem przynajmniej o jednym takim przypadku, o Jego przyjacielu Łazarzu, który leżał w grobie przez kilka dni. Został przywrócony do życia przez Jezusa. Może były inne wskrzeszenia, ale nic mi o nich nie wiadomo. Niemniej przykład Łazarza jest pewny. Nie braliście pod uwagę, że to jednak jest możliwe? Aż mi się wierzyć nie chce.*

Maria Magdalena: Kiedy patrzysz na martwego człowieka wydaje ci się niemożliwe, aby zaczął na nowo żyć. Śmierć jest tak potężna, że nikt nie ma nad nią władzy. Wszyscy jej podlegają, nie można przed nią uciec. Bo jak? Nie ma też człowieka, który nie odczuwałby jakiegoś dreszczu emocji, lęku, kiedy staje ona przed nim samym. Jezus nie był wyjątkiem. Świadczy o tym Jego przejmująca modlitwa w ogrójcu, na kilka godzin przed śmiercią. Opowiedział mi o niej Jan, jeden z Jego uczniów. Wydaje się, że w konfrontacji z potęgą śmierci nic nie znaczą wypowiedziane wcześniej słowa o powstaniu z martwych. Nawet jeśli istnieje jakieś ich potwierdzenie w postaci przywrócenia do życia Łazarza czy kogoś innego. To wszystko jest zbyt odległe, zapominają się o tym. Tamto wskrzeszenie to był cud, a cuda mają to do siebie, że są bardzo, ale to bardzo rzadkie. Dlaczego miałby się powtórzyć, właśnie tu i teraz. Kiedy stoisz nad grobem bliskiej ci osoby, to czy twoje myśli krążą wokół przywrócenia jej do życia, bo słyszałeś o jakimś cudzie? Nie, twoje myśli są pogrążone tylko w bólu, skardze. Do niczego więcej, przynajmniej

przez jakiś czas, nie jesteś zdolny. Nie dziw się więc uczniom Jezusa, że gdy przyszło im patrzeć na śmierć Jezusa, zapomnieli o wcześniejszych zapowiedziach Jego męki i zmartwychwstania. Wręcz niemożliwa wydaje się wiara, która pokonuje śmierć. Kiedy stajesz przy grobie, nie masz już żadnej nadziei, że tę osobę zobaczysz jeszcze tutaj na ziemi. Pozostaje jedynie wiara w życie wieczne. Ona też wbrew pozorom nie przychodzi tak łatwo. Brak, ból, pustka są tak silne, że wydaje ci się niemożliwe, aby zostały kiedyś zagojone i wypełnione.

Redaktor: *Rozumiem więc. Zapomnieliście o słowach Jezusa zapowiadających Jego mękę, śmierć i zmartwychwstanie. Ale jednak, przynajmniej według ciebie, stało się – widziałś Jezusa żywego.*

Maria Magdalena: Tak, spotkałam Go w ogrodzie. Poszłam do grobu, aby namaścić Jego ciało, ponieważ nie dopełniliśmy tej ceremonii pogrzebowej z racji pośpiechu. Ciało Jezusa natychmiast po śmierci zostało złożone w grobie, bo nadchodził szabat. Bardzo wcześnie rano pobiegłam z olejkami do grobu. Chciałam być przez jakiś czas sama przy Nim, w samotności opłakiwać człowieka, któremu zawdzięczam życie. Jeszcze raz – łzami wypowiedzieć to wszystko, co jest w moim wnętrzu, kim dla mnie był, jak bardzo był dla mnie ważny. Jedyny. Nie chciałam, aby ktoś był świadkiem tego. Wolałam być sama. Dlatego poszłam do grobu o tak wczesnej porze, kiedy cała Jerozolima jeszcze spała. Zbliżając się cała byłam już we łzach. Nagle stanęłam jakby porażona piorunem. Grób było otwarty. Jakim cudem? A kamień? Idąc z olejkami zupełnie za-

pomniałam, że sama nie byłabym w stanie otworzyć grobu. Kamień byłby dla mnie zbyt ciężki. Na co ja liczyłam? Łzy jeszcze mocniej ciekły mi po policzkach. Po pewnym czasie zajrzałam do grobu. I moje serce zamarło... bo grób był pusty. Przeniknął mnie ból. „Dlaczego mi to uczyniłeś, Boże?” Krzyczałam w duszy. „Nie dość, że zabrałeś mi Jezusa, to teraz jeszcze ktoś ukradł Jego ciało. Nawet nie mogę wyrazić mego bólu miłości przy Jego ciele”. Kto to zrobił? Kiedy? Dlaczego? Dlaczego Jego prześladowcy nie dali Mu spokoju nawet po śmierci? Czy sama śmierć im nie wystarczyła? Czy trzeba było jeszcze kraść Jego ciało? Jeszcze raz, przez gęsto płynące łzy, spojrzałam w stronę miejsca, gdzie winno być ciało Jezusa. Oniemiałam, zamiast ciała zobaczyłam...

Redaktor: *Zmartwychwstałego Jezusa!?*

Maria Magdalena: Nie, jeszcze nie. Aniołów. Dwóch. Jednego w miejscu, gdzie winna być głowa Jezusa, drugiego w miejscu nóg. Przemówili do mnie. Cichym, spokojnym głosem, pełnym zdziwienia: „Niewiasto, czemu płaczesz?” Czy można było mieć wątpliwości skąd moje łzy? -pomyślałam, nie wiem skąd znalazłam siły, ale odpowiedziałam im, tłumiąc wzruszenie: „Zabrano Pana mego i nie wiem, gdzie go położono?” Gdy tylko to powiedziałam, poczułam, że ktoś za mną stoi. Nie czekając na odpowiedź, odwróciłam się. Zobaczyłam mężczyznę, nieznanego. Nigdy go wcześniej nie widziałam. Przez głowę przebiegła mi tylko jedna myśl. „To ogrodnik! Może on coś wie na temat ciała Jezusa”. Z wrażenia zupełnie zapomniałam o siedzących aniołach...

Redaktor: *Nie dziwię ci się. Sam wolałbym chyba mimo wszystko rozmawiać z ludźmi niż z aniołami.*

Maria Magdalena: Nie przerywaj mi. Zobaczyłam więc nieznanego ogrodnika i pytam go: „Panie, jeśli ty Go przeniosłeś, powiedz mi, gdzie Go położyłeś, a ja Go wezmę”. A on powiedział tylko jedno słowo: „Mario!” I oczy mi się otworzyły. To był Jezus! Zdążyłam tylko wykrztusić z siebie: „Nauczycielu”. A On jakby uprzedzając dalsze moje słowa powiedział: „Nie zatrzymuj Mnie, jeszcze bowiem nie wstąpiłem do Ojca. Natomiast udaj się do moich braci i powiedz im: Wstępuję do Ojca mego i Ojca waszego oraz do Boga mego i Boga waszego”. I zniknął. Jakby rozpułynał się. Ale to był On, żywy i zmartwychwstały. Nie jakaś zjawka, przywidzenie. Ale ktoś, z kim rozmawiałam, doświadczyłam Jego obecności i bliskości.

Redaktor: *Niesamowite. Ale jedna rzecz mnie zastanawia. Jak to możliwe, że mogłaś pomylić Jezusa z ogrodnikiem? Twierdzisz, że stał przed tobą Jezus, a ty nie potrafiłaś Go rozpoznać. Był dla ciebie nieznanym człowiekiem. Trudno mi to sobie wyobrazić. Gdybyś nie widziała Go przez kilka lat, ale widziałaś Go żywego jeszcze dwa dni temu. Nie zdziwiło cię to?*

Maria Magdalena: Owszem. Nawet bardzo. Sama do końca nie wiem, jak to było możliwe. Czyżby moje oczy były aż tak zaślepienie? Byłam przekonana o śmierci Jezusa, byłam jej świadkiem, więc czymś niemożliwym wydawało się spotkanie Go pośród żywych, do tego stopnia, że gdy stanął przede mną, wzięłam Go za kogoś innego. Oczy były jakby na uwięzi tego, co widzia-

łam wcześniej – przecież patrzyłam na Jego śmierć! Nie wiem, jak to możliwe, ale tak było. Zwyczajnie – nie poznałam Go. Niemniej wystarczyło jedno Jego słowo... I wszystko stało się jasne. Wypowiedział tylko moje imię – nie miałam już żadnych wątpliwości. To był Jezus. Po raz kolejny doświadczyłam niezwyklej rzeczy!

Redaktor: *Jakiej?*

Maria Magdalena: Że istnieje coś tak ważnego w naszym życiu jak ... nadzieja. Bez niej stajemy się bez-nadziejni.

Redaktor: *Nie przesadzasz?*

Maria Magdalena: Ani trochę. Wyobraź sobie, że w twoim życiu nie ma już nadziei. Na nic. Tylko rozpacz i poczucie przegranej. Patrzysz w przyszłość – i nic. Tylko tragedie, nieszczęścia. Żadnej nadziei na jakąkolwiek zmianę. Nawet na najmniejszą poprawę. Znikąd. Nic się nie zmieni, będzie najwyżej coraz gorzej. Spróbuj, udało ci się coś takiego wyobrazić?

Redaktor: *Próbuję. Jeśli usiłuję sobie coś takiego wyobrazić, to jest to wizja przerażająca i według mnie niemożliwa. Zawsze mamy na coś nadzieję. Może to, co teraz powiem, będzie szokujące, ale człowiek, który myśli o samobójstwie, bo nie widzi dla siebie już żadnej nadziei, jednak ma nadzieję – wprowadzie chorą – na to, że jego cierpienie i ból zakończą się. Smutna i tragiczna nadzieja. One są różne, czasami są małe, dotyczą dnia codziennego, o chociażby mam nadzieję, że moje dzieci będą dzisiaj grzeczne pomimo mojej nieobecno-*

ści przez cały dzień. Zwyczajna, powiedziałbym, powszednia nadzieja. Ale są i większe, odleglejsze, bardziej niepewne – wracając do przykładu z moimi dziećmi, mam nadzieję, że uda mi się je dobrze wychować tak, że staną się dobrymi ludźmi. Taką nadzieję żywię w swoim sercu. Masz rację, że chyba najsmutniejszym człowiekiem byłby ten, kto powiedziałby, że on już nie ma żadnej nadziei. Zostaje tylko rozpacz. Ale czy taka sytuacja jest w ogóle możliwa?

Maria Magdalena: Powiem ci z własnego doświadczenia – tak. Przeżyłam coś takiego. Pewnie nie opowiadałam ci, jak po raz pierwszy spotkałam Jezusa. Czasami nie chcę wracać do tamtych wydarzeń, bo nie były to zbyt miłe okoliczności. Ale z drugiej strony zmieniły wiele w moim życiu. Jeśli nie wszystko. Któregoś dnia zostałam przyłapana na cudzołóstwie. Nie wypieram się tego ani nie próbuję się tłumaczyć. Bóg wie, dlaczego do tego doszło. Zna moje serce. Osądzono mnie natychmiast. Nie miałam prawa nic powiedzieć, ani jednego słowa. Ja byłam winna. Prawo jest bezwzględne. Bezduśne. „Takie kobiety należy kamienować”. Zbuntowałam się. Dlaczego tylko ja muszę ponosić karę? Dlaczego nas obojga nie poślą na śmierć? To niesprawiedliwe. Wyprowadzono mnie przed budynek. Wyśmiewano się ze mnie, szydzono, pokazywano palcami. W oczach otaczających mnie ludzi widziałam tylko gniew, nienawiść, potępienie, obrzydzenie. Nikt, nikt nie zapytał się, dlaczego do tego doszło. Dlaczego upadliśmy w ten grzech? Prowadzono mnie za miasto, aby tam wykonać wyrok. I jak myślisz, co było w moim sercu? Jakaś nadzieja? Nie było żadnej! Nawet najmniejszego jej śladu. Wiem, co to jest rozpacz i bezna-

dziejność. Czujesz, że nie ma dla ciebie żadnego ratunku. Żadnego ratunku.

Redaktor: *Jak domyślam się – z opresji ocalił cię Jezus?*

Maria Magdalena: Tak, ale to nie było tylko ocalenie z rąk żadnego krwi tłumu. On mi pokazał coś więcej. Ale po kolei. Kiedy szliśmy przez miasteczko, do prowadzących mnie na stracenie faryzeuszów podbiegł jeden z uczonych w Piśmie. Wszyscy się zatrzymali. Chwilę rozmawiali ze sobą na uboczu. Ku mojemu zdziwieniu, mój „orszak śmierci” zawrócił. W sercu zatliła się mała, maluteńka nadzieja. „Co się stało? Dlaczego mnie nie prowadzą za miasto, gdzie wykonuje się wyroki na takich jak ja. Może się rozmyślili? Może ktoś się za mną wstawił? Będę mogła się wytłumaczyć, wyjaśnić. Czyżby Bóg wejrzał na moją nędzę i ocali moje życie?” Poprowadzono mnie na plac, na którym zobaczyłam siedzącego człowieka. Wokół Niego był już zgromadzony dość spory tłum. Wszyscy słuchali Jego słów. W pierwszej chwili nie zauważyli nowo przybyłych. Jeden z faryzeuszów chwycił mnie mocno za ramię, zaprowadził przed nauczającego, popchnął mnie tak mocno, że upadłam. Nie miałam już na nic siły. Leżałam dotykając głową piasku. Już nawet nie płakałam. Leżałam nieruchomo, o niczym nie myśląc, niczego nie pragnąc. Może tylko jednego, aby to poniżenie już się skończyło. Niech mnie ukamienują! Tak, tutaj, zaraz, ale niech będzie już koniec. Wolę umrzeć niż być tak poniżaną! Jak przez mgłę słyszałam słowa dialogu między faryzeuszami a owym nieznanym. „Mojżesz nam nakazał takie kamienować. A Ty co karesz?” Nastąpiła cisza. Ciągle, z bijącym co raz szyb-

ciej sercem, leżałam na piasku. Cisza. Nadal cisza. I nagle padły słowa, których w pierwszej chwili nie rozumiałam. Jednego byłam pewna – mówił ów nieznajomy: „Jeśli ktoś z was jest bez winy, niech pierwszy rzuci w nią kamieniem”. Złękłam się. „Zaczyna się”, przemknęło mi przez głowę. Skuliłam się i czekałam na pierwszy ból, na pierwsze uderzenie. I nic. Ciągłe leżałam twarzą do ziemi. Nie wiem, ile czasu minęło. Ale nagle poczułam, że wokół mnie nie ma nikogo. Zostałam sama. Czy to sen? A może już jestem po tamtej stronie...? Otworzyłam oczy i lekko podniosłam głowę. Plac był opustoszały. Nikogo. Gdzie oni wszyscy się podziali? Czy mi się to tylko śni? Z tego zdumienia wyrwały mnie słowa. Nie, nie była sama. Przede mną zobaczyłam Jego, nauczyciela, Jezusa. „Nikt cię nie potępił niewiasto?”. „Nikt, Panie” odpowiedziałam, choć jeszcze przed chwilą wokół mnie byli ludzie, którzy nie mieli najmniejszej wątpliwości, na jaką karę zasługuję. „I ja ciebie nie potępiam” – powiedział Jezus. Te słowa znaczyły dla mnie więcej niż cudowne ocalenie od okrutnej śmierci. Jest ktoś, kto mnie nie potępił. Zrozumiał. Ocalił, a co najważniejsze – dał nadzieję!

Redaktor: *Na co?*

Maria Magdalena: Jak to na co? Że mogę się zmienić, że mogę być lepsza, naprawić mój największy grzech, że nie ma sytuacji beznadziejnych. Nie tylko nie zostałam potępiona, odrzucona, ale co więcej – dostałam szansę. „Idź i nie grzesz więcej” – tak brzmiały ostatnie słowa, które usłyszałam wtedy od Jezusa. Idź i pielęgnuj w sobie dobro. Jesteś zdolna do niego. Możesz spróbować jeszcze raz. Wiedziałam, że takiej szansy nie mogę już

zmarnować. Jezus zobaczył we mnie człowieka. Nie grzesznika, potępieńca, wcielenie zła, ale kogoś, kto zbłądził, nawet bardzo, ale jego serce nie zostało do końca przeniknięte nieprawością. Dlatego jest nadzieja. On patrzył na moje życie inaczej, nie tylko przez pryzmat tego, co zrobiłam, jakiego zła się dopuściłam. On spoglądał przez pryzmat dobra, które nadal we mnie pozostało. Z drugiej strony czułam, że w spojrzeniu Jezusa wcale nie było usprawiedliwienia czy wybielenia moich czynów. Na pewno nie. Ale wnikając w moje serce obudził we mnie nadzieję na przyszłość. „Pamiętaj, nie musisz grzeszyć, możesz czynić wielkie i wspaniałe dobro”. Czy może istnieć wspanialsza nadzieja? Nie, nie i jeszcze raz nie. Największa nadzieja jaka w nas jest, to nadzieja związana z tym, że nic nie jest w stanie uczynić nas niezdolnymi do dobra. Sama wiem z własnego doświadczenia, że odkrycie jej wcale nie jest proste. A zwłaszcza gdyby chciało się to uczynić samemu. Najczęściej musi pojawić się ktoś, w moim przypadku był to właśnie Jezus, kto nam ukaże ową nadzieję. Po prostu zacznie w nas pokładać nadzieję, w nasze zdolności do dobra, tego małego i wielkiego.

Redaktor: *Wspomniałaś, że czegoś podobnego doświadczyłaś w spotkaniu ze zmartwychwstałym Jezusem. A dokładniej?*

Maria Magdalena: Nie dostrzegasz podobieństwa? Przecież Jezus przezwyciężył śmierć. Swoją śmiercią pokonał ją!

Redaktor: *Wybacz, ale dalej nie rozumiem twojego entuzjazmu.*

Maria Magdalena: Dobrze. Postaram się pewne rzeczy wytłumaczyć. Ale zacznę od jednego zasadniczego pytania? Czym jest śmierć?

Redaktor: *Jak to czym? Kresem naszego życia. Ustaniem wszelkich funkcji biologicznych. Każdy musi przez nią przejść. Nie ma człowieka, który nie umrze. Wiara podpowiada nam, że ona mimo wszystko nie jest ostatecznym końcem. Wierzymy, że po niej istnieje jeszcze inne życie, ale o nim niewiele wiemy.*

Maria Magdalena: Zgadzam się z tobą, ale będę drażyła dalej. Skąd wzięła się śmierć? Pamiętasz?

Redaktor: *Oczywiście. Każde dziecko o tym wie. Śmierć jest karą za pierwszy grzech. Konsekwencją upadku Adama i Ewy. Śmierć weszła na świat przez zawiść diabła, o ile dobrze pamiętam, tak jest napisane gdzieś w Piśmie Świętym.*

Maria Magdalena: Właśnie. Śmierć jest symbolem zła. Początku wszelkiego zła. I sama jest czymś złym, nie-naturalnym. Każdy człowiek bowiem pragnie żyć. Dlatego z taką nadzieją spoglądamy w stronę życia wiecznego. Jezus dokonał zwycięstwa nad czymś, co wydawało się być niepokonane – nad śmiercią. W zmartwychwstaniu znajduje się najsilniejsza nadzieja na ostateczne zwycięstwo nad złem, nad śmiercią. To nie do zła należy ostatnie słowo, lecz do dobra. Jeśli Jezus powstał z martwych, zwyciężył symbol zła – śmierć, oznacza to, że nie ma już żadnego większego zła, które mogłoby nad nami ostatecznie zapanować. Wiara w zmartwychwstanie Chrystusa jest fundamentem naszej nadziei. Już widzę w twoich oczach pytanie: „Jak

to jest możliwe?” Wyjaśnię ci to na przykładzie. Wyobraź sobie, że jesteś bardzo ciężko chory. Jakie nadzieje rodzą się w twoim sercu? Konkretnie. Spróbuj je teraz nazwać.

Redaktor: *Najważniejsza nadzieja dotyczy oczywiście mojego zdrowia, że lekarze znajdą właściwe lekarstwo na moją chorobę, że diagnoza była poprawna, że szybko z tego wyjdę. A jeśli choroba jest nieuleczalna, mogę żyć nadzieją na cud, mam też nadzieję, że nie będę dużo cierpieć, że moi bliscy mnie nie opuszczą.*

Maria Magdalena: Jak sam widzisz wraz z chorobą rodzi się w sercu wiele konkretnych nadziei, które są potrzebne do życia, do przetrwania, tak samo jak lekarstwo. Ale fundamentem ich wszystkich jest jedna nadzieja, najbardziej zasadnicza: cokolwiek będzie się działo w moim życiu, czy będę zdrowy czy też nie, czy znajdą lekarstwo czy też nie, czy ktoś będzie o mnie pamiętał czy też nie, to żadna z tych sytuacji nie zniszczy we mnie człowieczeństwa, mojej zdolności do dobra, do obdarowywania innych. To nie jest konkretna nadzieja, ale jest źródłem wszystkich innych. Cokolwiek się wydarzy, zawsze będę mógł wykrzesać z siebie jedno – odrobinę dobra, które przeciwstawi się złu. I to jest nadzieja, którą ostatecznie ukazał Chrystus swoim powstaniem z martwych.

Redaktor: *A czy nie uważasz, że nadzieja jest trochę jak marzenie? Daleka, nierealna, mglista, coś się wydarzy albo nie, niezależnie ode mnie.*

Maria Magdalena: Nie. Nadzieja tym się różni od marzenia, iż zaczyna się od dzisiaj, tu i teraz. Wracając do

naszego przykładu z chorobą. Jeśli pragnę odnaleźć ową najgłębszą nadzieję, że choroba nie zniszczy mego wnętrza, mojego człowieczeństwa, godności – niezależnie od tego co się dzieje wokół mnie – to zaczynam natychmiast od małych rzeczy. Od tego, że w moim cierpieniu nie muszę być ciężarem dla innych, że sam mogę dać coś z siebie: rozmowę, uśmiech, wysłuchanie innych. To dobro może zacząć promieniować ze mnie na wiele sposobów. Nadzieja tym się różni od marzenia, że nie stoi z założonymi rękami. Ona ożywia nasze działania, mobilizuje do nich. Widzi szanse na dobro i stara się je wykorzystać.

Redaktor: *Twoje dzisiejsze spotkanie z żyjącym Jezusem utwierdziło cię w tym?*

Maria Magdalena: Całkowicie. Dał mi nadzieję wbrew wszystkiemu, wbrew śmierci – zło nigdy nie będzie silniejsze od dobra. Tryumf zła jest tylko pozorny. Ostatnie słowo będzie zawsze należało do dobra. Ostatnim słowem w życiu Jezusa nie był tryumf śmierci, lecz zwycięstwo życia. Warto o tym pamiętać i tym żyć. Przepraszam, ale zupełnie zapomniałam: miałam przecież pobiec do uczniów Jezusa i powiedzieć, aby czekali na Niego w Galilei. Wybacz więc, ale muszę biec...